

**OD „LUBLINA”
DO „RAMZESA”**

Maciej Podgórski



„Zur A 13 Nr”

**WAJDOWSKA
IMPRESJA**

Wiesław Horabik

**ZOFIA
znaczy
MĄDROŚĆ**

Bogdan Miś

ROK ZAŁOŻENIA 1933

WAMIANA

LUBLIN 20 IV 1975 Nr 8 (572)

DWUTYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY

CENA 3 ZŁ

Zboże i „Katiusza”

Ireneusz J. Kamiński

JESIENIĄ 1944 roku tysiące żołnierzy radzieckich i polskich zaległy w transejach i ziemiankach nad Wisłą, gotując się do wiosennej ofensywy, która także Polsce miała przynieść wolność. Przed likwidacją światowej udreki historia jakby przyczaiła się nad szeroką rzeką.

Tymczasem na nieodległych tyłach, w pewnej miejscowości białopodlaskiego powiatu na Lubelszczyźnie, rozstawił swoje łóżka operacyjne szpital żołnierzy Armii Czerwonej. Ranni pochrzestali się komiśnikami i konserwami, ale wiejska okolica dostarczała im również nieco mleka. Nie było go dużo: działania wojenne przetrzebiły stada, Niemcy wysiedlili lub wymordowali gospodarzy. I w tej sytuacji żołnierze uchwalili, że rezygnują z 300 litrów mleka dziennie, ofiarowując je dzieciom polskim. 700 wychudłych i wygłodzonych dzieciaków w wieku do 8 lat piło odtąd niemal pół litra mleka na śniadanie...

Na takie drobiazgi historia raczej nie zawsze zwraca uwagę, choć dla zwyczajnych przyjaźni są to sprawy może i najważniejsze, bo tworzą je konkretni ludzie, o których można powiedzieć po prostu, że są źli, albo dobrzy.

Wiosną 1945 roku wojska zbliżyły się do Berlina. Ale w Lublinie nadal obowiązywało zaciemnianie okien, a żywność wydawano na kartki. Faktycznie brakowało wszystkiego, co jest potrzebne do normalnego życia. Wyjątkowo uważnie rozglądano się za cukrem, mąką, masłem, solą, herbatą, węglem, naftą i zapalkami. Jeśli znajdowano, to zazwyczaj radzieckie, dostarczone nad Bystrycę — rzekę wspaniałe wówczas czystą, chłodzącą latem ludzi i konie z pobliskich torów wyścigowych — zgodnie z pierwszym porozumieniem handlowym między PKWN a ZSRR, podpisanym w Lublinie już 20 października 1944 roku.

Był to czas gorączkowych poszukiwań: politycy szukali nowych rozwiązań kwestii społecznych i ustrojowych, Pierwsza Drukarnia Państwowa szukała ołowiu, milicja szukała spekulantów, którzy wznecając nerwowe nastroje czynem i słowem, tonowali entuzjazm pierwszych miesięcy wolności. Wszyscy, na przednówku, szukali chleba.

Wiosenne siewy wieś lubelska rozpoczęła w szczególnie trudnych warunkach. Cofające się wojska niemieckie uprowadziły tysiące koni, więc do orki sposobiono krowy i woły. Brakowało narzędzi



Lublin 1944 r.

Fot. M. Trachman

Bulat Okudźawa

Zaspia moje miasto. No, ale cóż mi
z tego!
Ja byłem tylko chłopcem i niańką byłem
jego;
byłem jego żołnierzem i robotnikiem byłem,
a ono zbyt zdziwioną miłością mnie darzyło
i zbyt ostrożnie rękę mi swoją podawało,
pamiętało mnie w piątek, w świętek
zapominało;
I jeśli kiedyś zginę, I jeśli żyć przestanę,
czy ono wtedy z krzykiem rozpaczy ze snu
wstanie?

Czy wyśle, zasmucone, nim załśni dzień
wspaniały,
Szczęśliwe swe kobiety, by mnie
opłakiwały?...
Lecz z każdym dniem wciąż czystiej i wciąż
je kocham gniewniej
i z tej miłości swojej mych bogów co dzień
rzeźbię.
Niczego mi nie trzeba, nie chcę
współczucia głosów:
wystarczy mi gitara i paczka papierosów.

Przełożył Kazimierz Andrzej Jaworski

Dokończenie na str. 4

18-27 KWIETNIA: DNI KULTURY RADZIECKIEJ

TRÓJGŁOS O WSPÓŁPRACY LUBLINA, BRZEŚCIA I ŁUCKA

BRZEŚĆ

„Nasza przyjaźń i współpraca — mówi przewodniczący Komitetu Obwodowego Rady Delegatów Ludu Pracującego w Brześciu (Białoruska SRR) — Konstantin W. Matiuszewski — rozdziła się w latach ciężkiej wojny przeciwko wspólnemu wrogowi — najeźdźcy hitlerowskiemu. Pamiętamy, że w wyzwaniu radzieckiej Białorusi brała udział pierwsza Dywizja Ludowego Wojska Polskiego. Na terytorium naszego brzeskiego województwa w 1943 r. powstał Polski Oddział Partyzancki im. Tadeusza Kościuszki. Dowódcą tego oddziału był wielki patriota, Czesław Klim, a zastępcą do spraw politycznych — Wacław Klimaszewski. To sformowaniu Oddziału udało się za Bug i tam walczył na tyłach hitlerowskiego wroga. Do dziś żyją w naszym województwie ludzie, którzy walczyli w polskich oddziałach partyzanckich lub wyzwolali waszą Ojczyznę. Jest wśród nich m. in. b. partyzant Aleksander K. Bukraba, odznaczony orderem Virtuti Militari oraz Medalem Zwycięstwa i Wolności. Szereg polskich orderów i medali, a wśród nich Virtuti Militari ma drugi brześcianin, Piotr D. Pierwa. Tamta, zrodzona wówczas, przyjaźń od trzydziestu lat utrwała się w codziennych kontaktach między naszymi dwoma województwami. Społeczeństwo Obwodu Brzeskiego z dużą uwagą śledzi osiągnięcia swych polskich przyjaciół. Każda delegacja Ziemi Lubelskiej jest bardzo serdecznie przyjmowana w naszym województwie. Łączą nas i pogłębiają się związki dotyczące problemów gospodarczych, pracy partyjnej, organów rad narodowych, organizacji młodzieżowych i związkowych itp. Nasza współpraca przynosi wiele konkretnych korzyści obustronnych. Lubelscy melioranci pomogli nam np. w osuszaniu bagien Polesia. Teraz specjaliści z tej dziedziny obu województw przygotowują się do przeprowadzenia w przyszłości regulacji stosunków wodnych na Bugu. W ub. roku nasi melioranci z dużym zainteresowaniem śledzili doświadczenia polskich kolegów w dziedzinie drenowania oraz budowy śluz na dużych zbiornikach wodnych. Polscy specjaliści przekazali także materiały dotyczące prac melioracyjnych. A z kolei polscy budowlani interesowali się nowymi formami tynkowania i ocieplania budynków, a także metodami pokrywania dachów, stosowanymi przez zakłady budowlane w Iwaczewie. Rozwijają się różnorodne kontakty pomiędzy fabrykami obu województw. Kontakty takie łączą m. in. brzeską fabrykę żarówek, gdzie zamontowano część polskich maszyn i urządzeń z Wytwórnia Sprzętu Komunikacyjnego w Swidniku; Brzeską Fabrykę Budowy Maszyn i Lubelską Fabrykę Maszyn Rolniczych; Zakłady w Baranowiczach i Elektromaszynowe „EDA” w Poniatowej, Brzeską Fabrykę Konfekcji i Lubelskie Zakłady Przemysłu Terenowego „Lubgal”. Ważne zadania dla obu krajów spełniają „suche porty” w Brześciu i Małaszewiczach. Z Brześcia do Polski przesyłamy wiele milionów ton rudy żelaznej dla waszych hut, nawozy potasowe dla rolnictwa, drzewo do dalszej obróbki oraz wysokiej jakości nasiona pszenicy. Przez Małaszewicze dociera do nas wasz węgiel, meble, wyroby przemysłu lekkiego, konfekcja i odzież.

W rozwijaniu tych różnorodnych kontaktów przygranicznych wielką zasługę ma Zarząd Obwodowy Towarzystwa Przyjaźni Radziecko-Polskiej w Brześciu. Pod jego egidą odbywa się wymiana delegacji robotników, studentów, pionierów, młodzieży szkolnej, grup turystycznych i ekip sportowych. Istotny wkład w pogłębianiu przyjaźni mają także naukowcy, którzy brali udział w konferencjach i sympozjach naukowych poświęconych omówieniu roli partii w budownictwie socjalizmu i komunizmu na przykładzie naszych województw.

Z okazji wspomnianych na wstępie rocznic w wielu naszych zakładach pracy, kolchozach, sowchozach, szkołach i domach kultury odbędą się uroczyste zebrania, wieczory przyjaźni, prelekcje i wykłady poświęcone trzydziestolecu układu radziecko-polskiego i trzydziestej rocznicy zwycię-

stwa nad faszyzmem. W wielu domach kultury otwarte zostaną wystawy fotografów o powojennym dorobku Polski. Już teraz trwają przygotowania do „Dni Lublina” w Brześciu. W naszym mieście za kilka dni rozpocznie się także festiwal filmów polskich.

9 maja w Dniu Zwycięstwa w Brześciu i przygranicznych rejonach brzeskim i kamienieckim odbędą się uroczyste spotkania przyjaźni, w których uczestniczyć będą delegacje powiatów: Biała Podlaska i Włodawa. Wspólnie bowiem zamierzamy obchodzić tę wielką rocznicę zwycięstwa — ważną i dla was i dla nas...”

WOŁYŃ

„Współpraca przygraniczna między obwodami wołyńskim i woj. lubelskim, trwająca od chwili wyzwolenia uaktywniła się od 1948 r. — mówi przewodniczący Komitetu Obwodowego Rady Delegatów Ludu Pracującego Wołynia z siedzibą w Lucku (Ukraińska SRR) — Iwan I. Cerkowin y. — Grupy specjalistów z różnych dziedzin gospodarki obu województw oraz „Autobusy Przyjaźni” kursujące między naszymi województwami przywożą rolników, robotników zakładów przemysłowych, pracowników budownictwa, gospodarki komunalnej oraz administracji państwowej. Uczestnicy „Autobusów Przyjaźni” zwiedzają interesujące ich zakłady przemysłowe, kolchozy i spółdzielnie pracy, zapoznają się z organizacją produkcji, metodami zarządzania, wymieniają doświadczenia, a następnie biorą udział w imprezach kulturalno-rozrywkowych. Specjaliści polscy pomagali nam w okresie remontu i modernizacji w dwu cukrowniach w Horochowie i Hniedawie. Zainstalowano dzięki temu tzw. dyfuzję ciągłą zapewniającą oszczędność wody i większą wydajność cukru. Dużym uznaniem kolchoźników cieszą się suszarnie zielonek otrzymane z Polski, usprawniające zabezpieczenie paszy na zimę. Na peryferiach Łucka przy pomocy specjalistów polskich zbudowano fabrykę eternitu, w której znalazło zatrudnienie kilka tysięcy osób. Zrozumiałym powodzeniem wśród kierowców cieszą się samochody „ZUK” z FSC z Lublina, a wśród budowlanych cementy szybko wiążące tzw. „400” i „450” z Cementowni Chelm i Rejowiec.

Przez nasz „Suchy Port” w Jagodnie nieraz już wysyłałmy do was znaczne ilości zboża konsumpcyjnego i paszowego. Importujemy natomiast samochody „żuk” i „nysa”, konfekcję i galanterię.

Na Wołyniu w popularyzowaniu spraw polskich poważną rolę odgrywa Towarzystwo Przyjaźni Radziecko-Polskiej. Sprawnie działają oddziały TPR-P w Lubomiu i Włodzimierzu Wołyńskim, o także w fabryce samochodów dla potrzeb rolnictwa („ZAZ” 969), a na wsiach — w licznych kolchozach. Wielu naszych obywateli szczerzy się posiadaniem polskich odznak państwowych. M. in. Michał Korczew z Łucka posiada Virtuti Militari, a Aleksander Filuk — Krzyż Walecznych. Większość odznaczonych to byli partyzanci, którzy walczyli przeciw hitlerowcom na Lubelszczyźnie, b. często w oddziałach polskich.

Nasi naukowcy i działacze partyjni brali udział we wspólnych sesjach naukowych poświęconych 100 rocznicy urodzin Lenina, 50 rocznicy Rewolucji Październikowej, 25-lecia TPP-R, 50-lecia Związku Radzieckiego oraz 30-leciu wyzwolenia Polski i Ukrainy.

Ożywiona współpraca panuje w dziedzinie kultury, wymiana teatrów i filharmonii, a także zespołów pieśni i tańca i grup sportowych. Nasze społeczeństwo podziwiała wielokrotnie występy zespołów studenckich oraz Pieśni i Tańca Ziemi Lubelskiej. Kontakty młodzieży wyrażają się organizowaniem seminariów oraz wspólnych obozów wycieczkowych. Nasz czołowy choreograf, Irina Markina, uczyła wasze zespoły tańców ukraińskich. Z waszej strony Wanda Kaniorowa z Zespołu Pieśni i Tańca Ziemi Lubelskiej uczyła naszą młodzież tańczyć mazura, lerakowiaka i poloneza.

Z okazji 30-lecia podpisania układu radziecko-polskiego oraz 30 rocznicy zwycięstwa nad faszyzmem przygotowujemy wiele imprez. Już odbywają się zebrania, kół przyjaźni radziecko-polskiej w zakładach i kolchozach Wołynia. Przygotowujemy dekadę książki polskiej. Młodzi spotkają się na wspólnym seminarium. 9 maja w kilku naszych miejscowościach spotkamy się z polskimi przyjaciółmi na uroczystych manifestacjach antywojennych”.

LUBLIN

„Przyjaźń i współpraca pomiędzy mieszkańcami Lubelszczyzny a sąsiadującymi obwodami brzeskiego i wołyńskiego Kraju Rad — stwierdził wojewoda lubelski, zarazem przewodniczący Zarządu Wojewódzkiego TPP-R mgr inż. Ryszard Wójcik — zadzierzgnęła się jeszcze w okresie wspólnych walk przeciw hitlerowskiemu okupantowi. Wówczas to, po obu stronach Bugu, na zapleczu frontu, krzepło braterstwo broni polskiego lewicowego ruchu oporu i radzieckiej partyzantki. Według szacunkowych danych na terenach Zachodniej Białorusi i Zachodniej Ukrainy z bronią w ręku walczyło przeciwko hitlerowskiemu najeźdźcy ok. 5 tys. Polaków. Do historii przeszły walki oddziałów: Józefa Sobiesiaka, Jana Burzyńskiego, Roberta Satanowskiego i Mikołaja Kunickiego. Pamiętamy także, że w 1944 r. na Ziemi Lubelskiej walczyło 20 oddziałów skupiających 7 tys. leśnych żołnierzy, tj. ok. 60 proc. całego stanu osobowego partyzantki radzieckiej, działającej na ziemiach polskich. Wojda, Rąbłów, Iasy parczewskie i Wzgórze Porytowe to tylko nieliczne miejsca wspólnych bitew partyzantów polskich i radzieckich przeciwko hitlerowskiemu okupantowi. Są to zarazem symbole tego braterstwa broni, które doprowadziło żołnierza polskiego najkrótszą drogą do kraju, do całkowitego wyzwolenia ojczyzny. Do dzisiaj trwają wizyty dowódców i żołnierzy oddziałów partyzanckich w zaprzyjaźnionych wsiach i rodzinach. A zrodzona przed laty przyjaźń rozwija się i rozrasta, obejmując wspomniane województwa.

Od kilkunastu lat trwa systematyczna wymiana „Autobusów Przyjaźni”. Obejmuje ona specjalistów różnych branż m. in. pracowników większych zakładów przemysłowych, spółdzielczości pracy i rolnictwa. Obustronna wymiana dokumentacji naukowej i technicznej wpłynęła nie tylko na usprawnienie organizacji pracy i metod zarządzania, ale również na poprawę jakości produkcji. Nasi specjaliści melioracji pomagali w osuszaniu bagien nad Prypecią, dostarczając odpowiedniej dokumentacji. Z doświadczeń i maszyn radzieckich korzystaliśmy również przy drenowaniu gruntów ornych. Dzięki współpracy naukowców, m. in. z Uniwersytetu im. Iwana Franki we Lwowie na Wydziale Humanistycznym Uniwersytetu im. Marii Curie-Skłodowskiej w Lublinie, utworzono filologię rosyjską. Dużym osiągnięciem było zorganizowanie przez naukowców Lublina i przygranicznych obwodów sesji naukowych poświęconych 50-leciu Rewolucji Październikowej, 100-leciu urodzin Lenina, 25-leciu TPPR i 50-leciu powstania Związku Radzieckiego. Teatr Lubelski oraz Filharmonia wyjeżdżały na teren obwodów brzeskiego i łuckiego, a także do Lwowa kilkanaście razy. Odbyło się ponad 100 przedstawień i koncertów. Wielką popularnością wśród społeczeństwa cieszyły się w Lublinie i miastach powiatowych występy zespołów pieśni i tańca z Łucka i Brześcia, a zespołów z Lublina — w Brześciu i Lucku oraz w innych miastach.

Wielką wagę przywiązujemy do zbliżających się „Dni Kultury Radzieckiej”, kiedy to na Lubelszczyźnie odbędą się ponad 100 różnego rodzaju imprez kulturalnych, filmowych, wystaw, konkursów i kiermaszy, organizowanych we wszystkich środowiskach naszego województwa.

Konsolidacją naszej przyjaźni są masowe spotkania kilkusetosobowych delegacji w przygranicznych miastach i osiedlach organizowane z okazji świąt narodowych, a także spotkania młodzieży szkolnej i robotniczej. Przemysł i rolnictwo naszego województwa mają znaczny udział w eksporcie wyrobów do Związku Radzieckiego. Przez „suche porty” w Dorohusku i Małaszewiczach wysyłamy samochody dostawcze „żuk”, galanterię i odzież z zakładów Przemysłu Terenowego i Spółdzielczości Pracy, płaszcze damskie z „Gracji” i filii „Cory” z Zamościa i Krasnegostawu, zestawy mebli z fabryk Zamościa i Białej Podlaskiej. Tą samą drogą otrzymujemy ropę naftową, nawozy potasowe, drzewo i zboże.

Nie można pominąć znacznych zasług TPP-R w popularyzowaniu osiągnięć Związku Radzieckiego i umacnianiu przyjaźni. TPP-R na Lubelszczyźnie liczy obecnie ponad 3 tys. kół, skupiających 120 tys. członków”.

Spisał: Franciszek Malinowski

NOWELISTYKA radziecka wzbogaca się w ciągu każdego roku o kilkadziesiąt ciekawych utworów. Przekonują o tym zbiory współczesnych opowiadań radzieckich wydawane u nas dość systematycznie w ostatnich kilkunastu latach, w czym zasłużył się zwłaszcza Państwowy Instytut Wydawniczy. Jego nakładem ukazał się niedawno kolejny, dwunasty już tom opowiadań pisarzy radzieckich — „Salto mortale”. Zbiór zawiera 24 opowiadania wybrane spośród pozycji opublikowanych na łamach prasy radzieckiej w roku 1972.

Sprawa chyba najistotniejszą w tego rodzaju wydaniach jest odpowiedni dobór autorów i tekstów. Trudno oczywiście rozstrzygnąć, czy i w jakim stopniu antologia „Salto mortale” jest reprezentatywna dla zjawisk, które zachodziły w literaturze radzieckiej dwa lata temu. Se-

opowiadania (chodzi tu zwłaszcza o tych autorów którzy posiadają wyrobioną pozycję w literaturze radzieckiej). Nie pomogą też przy tym zawarte na końcu zbioru dość skąpe i niezbyt starannie zredagowane noty o autorach.

Przy refleksji nad zawartością treściową tomu „Salto mortale” nasuwa się nieodparcie wypowiedź W. Lidina, jednego z czołowych krytyków radzieckich, który stwierdził w dyskusji o problemach małych form prozatorskich na łamach czasopisma „Literaturnaja Rossija”: „Pragnę jedynie by opowiadanie było odkryciem — nowego zakątka rzeczywistości, nieznanego dotychczas czytelnikowi, nowego typu czy charakteru, nieuchwyconego jeszcze przez nikogo, nowych myśli, poszerzających naszą wizję świata”. Utwory zawarte w omawianym tomie zdają się w pełni odpowiadać tak sformułowa-

w jej twardym życiu zabrakło. Takim jest wreszcie młody kierowca Ignat Ogłobin („Kierowca i pasażer” W. Jelowskiego), który stara się zrozumieć postawę swego przypadkowego pasażera, a także Barbara, bohaterka opowiadania E. Szyma („Polana, na której rosną paprocie”) — kilkunastoletnia dziewczynka o nieprzeciętnej wrażliwości, dla której otaczający ją świat jest sumą lirycznych wzruszeń.

Atmosferę wieloznaczności, wywołującą rozległe skojarzenia i pobudzającą do refleksji stwarzają opowiadania „Ostatni most” (I. Lawrowa) i „Mała drużyna piłkarska” (J. Szerbaka), których autorzy obdarzeni są umiejętnością niezwykle subtelnej i wnikliwej psychologicznie interpretacji zachowania się bohaterów.

Autorów nowel włączonych do zbioru cechuje zainteresowanie roz-

CZYTELNICZY MOWIA

Dzieci nam dorastają i w pewnym momencie zjawia się sprawa wyboru ich przyszłego zawodu. Jakie istnieją tutaj motywacje, czy i na ile rodzice biorą udział w tych decyzjach oraz jak owe decyzje mają się do zainteresowań i dyspozycji dzieci? — z tym pytaniem zwróciłyśmy się do kilku osób w Lublinie.

Czesław Popik
lekarz

Mam dwie córki, starsza studiuje prawo, młodszą uczy się w III klasie liceum ogólnokształcącego. I ona już od roku wie że będzie studiować historię sztuki. Córki mają charakter niezależny, uczą się w dobrym stylu i same decydują o wyborze przyszłego zawodu. Uważam, iż nie powinno się niczego narzucać dziecku, a tym bardziej żądać, żeby kontynuowało zawód rodziców. Młodszą córkę już od dawna maluje i rysuje, ostatnio czyta literaturę fachową na temat malarstwa i architektury, interesuje się zabytkami. „Jak się nie dostanę, to rok przeczekam i znów będę zdawała na historię sztuki. Albo to, albo nic” — powiada i ja szanuję ten wybór, choć zawód lekarza jest przecież fachem najpiękniejszym.

Marian Skoczyński
prawnik

Starszy syn jest w II klasie liceum ogólnokształcącego. Może jeszcze za wcześnie, żeby myśleć o wyborze zawodu. Zainteresowania posiada biologiczno-chemiczne. Robi w domu jakieś doświadczenia, zbiera i wykonuje albumy przyrodnicze. Bardzo dobrze, nikt mu w tym nie przeszkadza. Ja natomiast kładę nacisk na naukę języków obcych u obu chłopców, to bardzo pożyteczna umiejętność w dzisiejszym świecie niezależnie od tego, jaki się zawód wykonuje. Starszy syn jest pilny i pracowity, uczy się dobrze tylko trochę jakby za mało zdecydowany, raczej trzeba nim sterować. Zasadniczą rozmowę na temat studiów mamy jeszcze przed sobą.

Ryszard Wiśniewski
ekonomista

Młodszy syn, uczeń II klasy liceum ogólnokształcącego, w zasadzie już dokonał wyboru, aczkolwiek początkowo wahał się między studiami ekonomicznymi, co wynika z tradycji rodzinnych (oboje z żoną jesteśmy ekonomistami), a kierunkiem matematyczno-fizycznym, który ostatecznie przebrał. Chłopiec jest w szkole pierwszym uczniem z matematyki w klasie o tej specjalności, więc sorawa prosta. Rozmawiamy z synem, dyskutujemy i w efekcie on myśli o specjalności w zakresie metod numerycznych. Kwestia komputerów, cybernetyki — to dziś kolosalna perspektywa. Hobby syna to szachy, gra w klubie sportowym jako junior. I to się „wszystko pięknie rymuje — szachy i matematyka”.

Irena Wrzós
technik żywienia zbiorowego

Nie mam jeszcze dzieci ani męża. W zeszłym roku ukończyłam Technikum Gastronomiczne. Mama pracuje jako kucharz w stołówce kolejowej i może to miało wpływ na moją decyzję podjęcia nauki w Technikum. Zresztą mama zdecydowała, bo po VIII klasie to ma się tyle rozumieć co mały ostatek. Myślałam o dalszej nauce w jakimś dwuletnim studium oomaturalnym, ale ze względu na ciężką sytuację domową musiałam stanąć do pracy. Obecnie jestem biolierką w restauracji, czyli prowadzę dokumentację szefa kuchni. Przynajmniej pracuję zgodnie ze swoim wykształceniem.

Helena Zalewska
nauczycielka — polonistka

Starsza córka uczy się w II klasie liceum ogólnokształcącego. Już teraz myślę o przyszłej decyzji co do wyboru studiów. Ustawiam ją od katem egzaminów wstępnych na prawo. Dziewczyna ma w ogóle raczej zainteresowania humanistyczne, przede wszystkim ciekawi ją historia i może właśnie ten kierunek by wybrała, ale prawo w praktyce życiowej lepiej się przyda. Biviam z nią u psychologa — potwierdził moje obserwacje: albo historia, albo prawo. Mał jest prawnikiem i to też ma swoje znaczenie. Dziewczyna jest ambitna i wie, że, iż poradzi sobie na tych trudnych studiach.

Zbigniew Zugaj
artysta-fotografik

Chłopak robi w tym roku maturę w liceum ogólnokształcącym. Niedawno debiutował w „Kamemie” kilkoma opowiadaniem. I to są chyba jego główne zainteresowania. U, raczej humanistka. Jest trochę zamknięty w sobie, niezbyt czynny. W szkole uczy się średnio. Niczego mu nie zamierzam narzucać, aczkolwiek jestem zadowolony, że wybrał studia na... AGH w Krakowie. Jeśli się dostanie i skończy, wróci do domu (tak ma zamiar), a orzyszość Lubelszczyzny to przecież węgł. Jest jedynakiem i studia poza środowiskiem rodzinnym dobrze mu zrobią. To tego decyzja, choć może nieco zaskakująca.

NOWELA RADZIECKA

Wiesława Woźniak

Ilekcja jest jednak, jak się wydaje, dość udana, choć z pewnością redaktorzy tomu byli zmuszeni odrzucić niejedną interesującą pozycję.

Opowiadania zawarte we wspomnianym zbiorze wyszły spod pióra dwudziestu czterech różnych pisarzy. Obok debiutantów Walerego Jelowskiego („Kierowca i pasażer”) czy Włodzimierza Szczedriny („Zaplata”) mamy tu szeroko w Polsce znanego i spopularyzowanego Walentina Kataljewa (opowiadanie tytułowe), wybitnego młodego prozaka kijowskiego Jurija Szerbaka, a także wielu pisarzy, których utwory były już u nas drukowane (należą do nich Gieorgij Siemionow, Witalij Siomin, Edward Szym i Sergiusz Woronin). W antologii znalazły się utwory prozaiików różnych narodowości (Litwy, Estonii, Białorusi, Ukrainy, Gruzji i Komi), a ich opowiadania są dla autorów często „polskim debiutem”.

Otrzymały w efekcie dość wycinkowy obraz najnowszej nowelistyki radzieckiej jest ze zrozumiałych przyczyn bardzo różnorodny pod względem tematycznym i problemowym. Wydaje się wszakże, że czytelnik polski, który wie już dość dużo o prozie radzieckiej, oczekuje zbioru o bardziej usystematyzowanym i ujednoczonym charakterze. Czytając „Salto mortale”, odczuwa się niekiedy niedosyt. Trudno przecież określić charakter twórczości dojrzałego już pisarza na podstawie jednego

nym pragnieniom i wymaganiom krytyka. „Salto mortale” ukazuje, że w tworzeniu tzw. „małej prozy” we współczesnej literaturze radzieckiej biorą udział zarówno młodzi debiutanci jak i dojrzały mistrzowie pióra, a każdy z nich poprzez krąg własnych zainteresowań i poszukiwań znajduje swój styl wypowiedzi właściwy dla tego gatunku.

Wśród opowiadań zbioru na szczególną uwagę zasługują utwory J. Gałkina, W. Jelowskiego, E. Kripaitisa, M. Nazarienko, G. Niemczenki, J. Szerbaka, E. Szyma i L. Wojtowski. Różnorodność tematyczna utworów tych prozaiików nie rozwała zamknąć ich charakterystyki w jednej formule, która mogłaby oddać zawarte w nich problemy. Jednakże jest w tych opowiadaniach coś wspólnego. Ta wspólna nić — to bohater, człowiek zagubiony w codzienności, przylotyczny przez współczesną cywilizację, szukający w świecie właściwego miejsca, które pozwoliłoby mu żyć pełniej i lepiej.

Do takich właśnie bohaterów zalicza się Julka, tytułowa postać opowiadania Mariny Nazarienko, młoda impulsywna dziewczyna, usiłująca poprzez fałszywą pozę ukryć swe prawdziwe uczucia, schować się przed otaczającym ją światem i ludźmi, taka też jest bohaterka opowiadania „Wszystkim i każdemu” Garija Niemczenki — starsza dobrodusznica Nastazja, pragnąca służyć swym życiem bliżnim, rozdawać to, czego

małtością postaw ludzkich wobec życia, a więc tym, co stanowi o odrębności każdego indywiduum, zainteresowanie przyczynami, które sprawiają, że postępowanie jednostki nie zawsze da się wytłumaczyć logicznie. Każdy z pisarzy stara się jak najpełniej oddać swoje widzenie różnych spraw obyczajowo-psychologicznych i społecznych.

Pomimo pewnych, debiutanckich niekiedy nieporadności, młodych autorów (większość z nich urodzona jest w latach 30-tych), znalazły się przecież w zbiorze doskonale, chciałyby się powiedzieć, bezbłędne rysunki psychologiczne. Znajdujemy je w opowiadaniach „Cień” L. Wojtowskiej, i „Mgła” E. Kripaitisa. Można się w nich dopatrzeć śladów wpływu starej doskonałej szkoły nowelistyki rosyjskiej. Widoczne są one niekiedy w sposobie ujęcia portretowanej osoby, kiedy indziej znów w stylistyce, w kompozycji obrazu, w dążeniu do jasnego precyzyjnego i lakonicznego języka.

Wspomniany tom daje nam pewne wyobrażenie o bujnie rozkwitającej współczesnej nowelistyce radzieckiej i jej osiągnięciach, orientuje nas w moralno-obyczajowej problematyce współczesnego społeczeństwa radzieckiego. Należy więc oczekiwać również udanych następnych tomów opowiadań. Jest przecież w nowelistyce radzieckiej z czego wybierać.

GARMONDEM

NIEMAL wszystkie miasta wojewódzkie w Polsce posiadają takiego urzędowego pana — fachowca, który stara się, aby wariactwo „estetyczne” nie sponiewierało naszych domów, ulic, osiedli. Lublin liczy prawie 300 tysięcy mieszkańców i ma aspiracje. Ale instytucji plastyki miejskiego nie może się jakoś dorobić. Istnieją natomiast przy Urzędzie Miejskim: inspektor d/s estetyki, którą to funkcję pełni technik budowlany, oraz komisja d/s estetyki miasta. Ta ostatnia by-

ła dotąd abstrakcją, teraz podobno pręży się do wielkiego skoku. A ja się pytam, dlaczego galwanizujemy nieboszczyka, zamiast powołać sprawdzoną już formę miejskiej opieki estetycznej, jaką jest instytucja miejskiego (powiatowego) plastyka? W tej dziedzinie nie wierzę w sprawność działania komisji i techników budowlanych. Ufam specjalistom, którzy indywidualnie podejmują decyzje i osobiście za nie odpowiadają.

IJK



Irina Rodina i Aleksander Zajew

W REPREZENTACYJNYM zestawie folderów reklamowych „POL-MOT” najczęściej, oczywiście, o „fiacie 125p”. Ale sporo też o lubelskim „żuku”. Zgrabne dziewczyny w czystych strojach roboczych ładują na platformę „żuka” owoce ziemi naszej — kwiaty i frukta. Do mikrobusu „żuk” wsiada kwiat góralskiej młodzieży w strojach regionalnych. „Żuk” na tle zimy, „żuk” na tle jesieni, „żuk” na tle gór, „żuk” na tle rzeki, „żuk” — strażak, „żuk” — rolnik, „żuk” we wszystkich kolorach tęczy, „żuk” w rozmaitych odmianach.

Z początku lubelska FSC była skromną montownią radzieckich samochodów ciężarowych „gaz-51”, wypuszczanych z fabryki jako „lubliny”. Pierwsze pojazdy, zwane pieszczotliwie „lublinkami”, zeszyły z taśmy montażowej w listopadzie 1951 roku. I nikomu się wtedy nie śniło o polskim samochodzie dostawczym, aczkolwiek równocześnie ruszyła w FSO na Zeranin produkcja radzieckich „pobied”, w polskiej wersji — „warszawy”, na których silniku i zespołach napędowych oparto w kilka lat później prototypy „żuka” i „nysy”.

W latach 1951 — 1958 wyprodukowano w lubelskiej fabryce 17,8 tys. „lublinów”, gdy tymczasem w samym tylko roku 1974 z taśm montażowych zakładu zeszło 30 tys. „żuków” (w 1959 roku, kiedy w FSC rozpoczęto produkcję wozów dostawczych — 2 tys. sztuk). To daje pojęcie o skoku, jakiego dokonała FSC, mimo nie zawsze prostych ewolucji modelu polskiej motoryzacji.

Niewielka montownia licencyjnych samochodów ciężarowych stała się na przestrzeni lat nie tylko samodzielnym producentem polskich wozów dostawczych w kilkunastu odmianach, lecz również dużym zakładem metalurgicznym, którego połowa wartości produkcji to części dostarczane innym fabrykom motoryzacyjnym, a w przypadku pewnych detali FSC jest krajowym producentem-monopolistą. Te sprawy warto sobie czasem uświadomić, kiedy skłonni jesteśmy narzekać, iż nasze „żuki” nie odpowiadają standardom mikrobusów czy wozów dostawczych na przykład marki „volkswagen”.

Powiedziałbym zresztą — nie odpo-

wiadają jeszcze. Albowiem skoro wycofano rozwinięte kraje kapitalistyczne nie wstydzą się kupować w Polsce środków produkcji, czyli maszyn i urządzeń dla określonego typu przemysłu, stanowiących naszą specjalność, to i my w ostatnich latach przestaliśmy się wstydić kupna niektórych środków produkcji, stanowiących specjalność krajów kapitalistycznych. Dlatego też w FSC — obok wycofywanych (bo wyeksploatowanych) urządzeń radzieckich z lat 30-ych i 40-ych, sięgających jeszcze tradycji fordowskich, obok współczesnych maszyn z NRD i ZSRR oraz, przede wszystkim, polskich — sporo urządzeń angielskiego, szwajcarskiego, włoskiego i zachodnio-niemieckiego przemysłu maszynowego, które wpływają na poprawę jakości i wydajności



„Żuk A 15 M” w wersji „strażak”

produkcji naszych wyrobów motoryzacyjnych.

Fabryka zajmuje 120 ha powierzchni, zatrudnia tyłu pracowników ile liczy średnie miasto powiatowe na Lubelszczyźnie. Posiada filię w Poznaniu, gdzie montuje się „żuki” dla potrzeb rolnictwa. Istnieje także montownia „żuków” w Egipcie, gdzie one funkcjonują pod marką „ramzes”. Niemal każda hala produkcyjna FSC jest odrębnym zespołem wydziałów, rodzajem osobnej fabryki. W całości pracuje 5400 maszyn i urządzeń. Rozpoczęty w 1961 roku eksport samochodów osiąga ostat-

nie 45 procent rocznej produkcji. Eksportuje się do 31 krajów świata.

Samochodów nie powinno się wytwarzać tak jak butów — krótkimi seriami i w stosunkowo niewielkich zakładach. I FSC już jest kolosem, biorąc pod uwagę polskie warunki. Jest kompleksową fabryką, produkującą długie serie, której droga wiodła od radzieckiego „ciężarowca” marki „gaz-51”

zwanego „lublinem” do polskiego „żuka” zwanego w Egipcie „ramzesem”. To są bardzo charakterystyczne dzieje. Ale znamieny wydaje się jeszcze jeden fakt — iż ten wielki zakład, nastawiony przeciw nie na produkcję jednosezonowego „artykułu”, ciągle jest w trakcie stawiania się, nieustannie rozbudowywany i ulepszany, choć jednak i tutaj nie brak spraw trudnych: a to kooperanci nawalą, a to warunki pracy nie wszędzie takie, jak by się chciało mieć, a to części zamiennych do maszyn nie dostaje...

Zespół Wydziałów Narzędziowni zwą „sercem fabryki”. Tu bowiem wytwa-

rza się blisko 90 proc. narzędzi, potrzebnych następnie zakładowi do produkcji określonych części samochodu. Są to tzw. narzędzia specjalistyczne, reszta (około 10 proc.) to tzw. narzędzia handlowe, z których kupnem bywają czasem właśnie kłopoty. Tutaj zresztą produkuje się także oprzyrządowanie dla kooperantów zakładu na zasadzie: my wam zrobimy matryce, a wy na tych matrycach będziecie odlewali detale gumowe, stanowiące części produkowanego u nas samochodu.

Tutaj ma się przegląd najrozmaitszych maszyn do obróbki metalu, ale cały czas jest to jeszcze bezpośrednia produkcja, lecz produkcja narzędzi do produkcji. Wpierw idzie precyzyjna półautomatyczna obrabiarka „Lindner” wytwarzająca rolki segmentowe do walcowania gwintów śrub. Nowoczesne obrabiarki „MaHo” do wszelkiego rodzaju skomplikowanych profili matryc. Aż po ogromną strugarkę „Wolga” o ładowności 17 ton czy nie mniej wielką frezarkę bramową.

Zasadniczym produktem narzędziowni są matryce do odkówek bądź odlewów. Wpierw według rysunku technicznego ręcznie wykonuje się model detalu z drzewa, gipsu lub żywic. Według tego modelu kopiarki wykonują metalową wklęsłą matrycę, na której następnie robi się kontrolny odlew siarkowy (bo siarka dobrze wypełnia szczeliny). Odlew ten przechodzi dokładne pomiary — ewentualne błędy w matrycy wykańcza się ręcznie. Wykonanie matrycy wału korbowego, bo o nim mowa, zajmuje 300 roboczogodzin. W kuźni na tej matrycy można odkuć około 2000 wałów korbowych.

Kuźnia zresztą to już osobna fabryka w tej fabryce. Tak samo odlewnia, dokąd wędruje część matryc, wyproduk-

Zboże i „Katusza”

Dokończenie ze str. 1

i maszyn rolniczych, zatem spotęgowała się polska pomysłowość: duże plugi kombinowano z resztek małych, ubytki w metalowych bronach uzupełniano drewnem. Ale na niedostatek ziarna siewnego własnej rady nie było. Przyszła, bardzo namacalna, ze wschodu.

W marcu na dworzec kolejowy w Lublinie wjechało pierwszy 240 wagonów ze zbożem radzieckim; pod kotłami polskich parowozów ponał węgiel z Donbasu. Część ładunku pozostała na miejscu, resztę rozesłano do kilku wyzwolonych już województw. Nieco później czerwonoarmiści ofiarowali chłopom powiatu chełmskiego 4 tysiące ton ziarna siewnego, kierując równocześnie na Lubelszczyznę kolumnę samochodową o ładowności 36 ton, którą wykorzystywano do przetrzucia nadwyżek zbożowych z terenów zasobniejszych do uboższych. W kwietniu wojska radzieckie podarowały rolnikom wyzwolonej części kraju 15 tysięcy ton ziarna i kilkadziesiąt traktorów. Kiedy więc tzw. grupy organizacyjne ZMW zaczęły we wsiach propagować ideę sojuszu polsko-radzieckiego, spotykała je na ogół życzliwe przyjęcie. Jeśli to było możliwe, wiec takie urządzano w dniach jarmarków, nierazko ogłaszając zgromadzenie bicie w bęben. W Tarnogrodzie ów efekt akustyczny spowodowało specjalne zarządzenie wójta. Ale w Bilgoraju bęben milczał — może nie posiadano instrumentu, może w jego użyciu przeszkodził rzęsty deszcz, który nie zdołał przecięć rozpędzić wlecu. Okrzyki „niech żyje” mieszały się jednak czasami ze strzałami — zza węgla. Ich echa budziły w ludziach upór i zawziętość. Ich ponury pogłos powodował we wsiach i małych miastach lęk i obawę przed jutrem, co przecież nie przeszkodziło powstawaniu kół TPPR. Pierwsze z nich zawiązały się już jesienią 1944 roku w kilku miejscowościach „Polski lubelskiej”, mnożąc się z wiosną następnego roku.

Wyzwalanie kraju powodowało w społeczeństwie polskim naturalny odruch sympatii i wdzięczności do żołnierzy Armii Czerwonej. Charakter międzywojennych kontaktów obu państw i wzmagająca się działalność reakcyjnego podziemia nie miały

wówczas większego wpływu na owo życzliwe nacylenie się większości Polaków do tego, co radzieckie. Szczególnym wzięciem cieszyły się na przykład różnorakie występy teatralno-estradowe, czego nie da się do końca wytłumaczyć pookupacyjnym głodem kultury artystycznej, rozrywki, potrzebą satyrycznego odwetu na Niemcach, oferowanego właśnie przez wojskowe ansamble. Tłumnie walono na te produkcje, bo miały one po trosze koloryt plebejski, styl powszechny. 13 kwietnia, w dniu zdobycia Wiednia przez Armię Czerwoną, w Centralnym Domu Żołnierza w Lublinie dała koncert Moskiewska Grupa Teatrów Wojennych. „Konferansjerkę prowadził bardzo dowcipnie ob. Dunajew, który poza tym odśpiewał szereg piosenek humorystyczno-satyrycznych o treści antyfaszystowskiej. Solowiew i Krymskij popisali się grą na bajanach i lilipucich harmonijkach ręcznych, która w ich wykonaniu wypadła pierwszorzędnie” — recenzowała gazeta.

Znacznym powodzeniem cieszył się także film „Antoni Iwanowicz gniewa się”, wyświetlany w tym czasie w kinie „Apollo”. Prosta fabuła, delikatnie i dowcipnie zarysowany wątek miłosny, satyryczne przedstawienie konfliktu rzeczowników ortodoksyjnej muzycznej i zwolenników „ludowej fali” oprawione w aktorstwo rodem z MChAT-u — to musiało przypaść do gustu szerokiej publiczności. W pierwszej połowie 1945 roku na ekranach kin lubelskich dominowały jednak filmy polskie, wyprodukowane przed wojną i na wzór przedwojennych reklamowane. Zdarzały się przy tym takie lapsusy: „Drugą młodość” zapowiadano na lamach „Sztandaru Ludu” jako „potężny dramat produkcji” (w którym występuje Kazimierz Junosza Stępowski, „as ekranu polskiego”).

7 lipca podpisano w Moskwie polsko-radziecki układ handlowy, przyznający partnerom klauzulę najwyższego uprzywilejowania. W rezultacie obroty handlowe między obu krajami osiągnęły w 1945 roku wartość 264 mln zł dewizowych, czyli siedemnaście razy przekroczyły poziom wymiany towarowej z 1938 r. Dzięki wielkim dostawom kaukaskiej wełny i azerbejdżańskiej bawełny ruszyły fabryki włókiennicze Łodzi, Żyrardowa, Pabianic i Kalisza. Do Polski transporty przyjeżdżały nocą i w takiej scenarii przetrzucano bele surowca na wagony przystosowane do szerokości naszych torów kolejowych. W ciągu czterech godzin wojsko, ochotnicze grupy członków partii demokratycznych

i drużyny kolejowe musiały przeladować ok. 5000 kilogramów... Pociągi z tysiącami ton rudy żelaza i manganu jechały na Śląsk... W rocznicę wyzwolenia Lubelszczyzny rolnicy zaczęli koszenie zboża, które wyrosło z radzieckiego ziarna...

A społeczeństwo miasta ufundowało dwa sztandary: Oficerskiej Szkole Intendentury WP oraz oddziałom Armii Czerwonej — „w dowód wdzięczności i uznania”. Wręczano je uroczystie w Ogrodzie Saskim, przy pięknej pogodzie. Matką chrzestną była żona dyrektora Państwowego Monopoliu Spirytusowego, ojcem — pewien inżynier w mundurze starszego oficera. Sztandar dla Armii Czerwonej przekazano na ręce pułkownika Jabłokowa, ponieważ oddziały, które oswobodziły Lublin, znajdowały się jeszcze na zachodzie. Na liście fundatorów owych dowodów wdzięczności znajdował się prawdziwy melanz społeczny. Tak zatem obok najhojniejszego ofiarodawcy (niemal 47 tys. zł), jakim okazał się Związek Samoistnych Rzemieślników, spotykamy Firmę Caudr (2 tys. zł), Związek Doradczy i Furmanów (1 tys. zł), Związek Nauczycieli (1 tys. zł), Związek Dozorców Domo-owych (1 tys. zł), Firmę Łabędzki (5 tys. zł), wiceprezidenta miasta Al. Cudnego (500 zł), Firmę Hess (3 tys. zł). Najskromniejsze datki złożyli księgowi (200 zł) i notariusze (300 zł). Ta branżowa rozpiętość zdaje się dobrze unaoeczniać skalę naszej sympatii do wschodniego sąsiada.

Rocznice wydarzeń 22 lipca obchodzono uroczysto i hucznie w wielu miejscowościach Lubelszczyzny. I tak na przykład ulicami niewielkiego Tomaszowa przemaszerował pochód mieszkańców, którzy trafili później na wielką zabawę taneczną, uświetnioną występami zespołu estradowego Armii Czerwonej. A na bankiecie wydanym przez starostę, oficerów radzieckich podejmowano jako gości honorowych.

Kilka dni później w Alejach Raclawickich w Lublinie stanęła okazała brama triumfalna z napisem „Ślawa zwycięskiej Armii Czerwonej”, wzdłuż Krakowskiego Przedmieścia, przy Placu Litewskim i ul. Lubartowskiej pojawiły się flagi i godła radzieckie oraz portrety Stalina. Tak przyjmowano oddziały Armii Czerwonej, które po walkach o Warszawę, Kołobrzeg i Berlin wracały do domu. Z trybuny przy Placu Litewskim witał je prezydent miasta, Tadeusz Kadura, następnie wręczono żołnierzom adres dziękczynny „z podpisami robotników i pracowników umysłowych”. Na moment przed defiladą dowódca 28 Armii, generał-porucznik Szafranow, przyjął raport od generała-majora Kuźniecowa. Kilka godzin ciągnęły wojska radzieckie przez Lublin... A w kinie „Rialto” wyświetlano krótkometrażówkę „Moskwa dzisiaj”, poprzedzającą „rozgłoszony prześlib amerykański pt. „Wielbiciele pańcy Nancy” z Janet Gaynor w roli głównej. Mniej więcej w tym samym czasie radio no-

DO „RAMZESA”

Maciej Podgórski

wanych w narzędziowni. Plan na rok 1973 mówi o 56 tys. ton odlewów żelaznych. Zakładana wydajność projektowa odlewni (34 tys. ton rocznie) dawno już została przekroczona dzięki modernizacji i lepszej organizacji produkcji. Odlewnia FSC aktualnie wytwarza wszystkie odlewy żelazne do „fiata 125p” i jest w tej dziedzinie monopolistą krajowym. Warunki pracy są tutaj szczególnie ciężkie ze względu na podwyższoną temperaturę, hałas i zapylenie. Lecz jest też preferencja płacowa — pracownica, zatrudniona na tzw. akordzie dniówkowym, może zarobić do 6000 zł miesięcznie.

Na matrycach odlewniczych, wykonanych w narzędziowni, formuje się wprawdzie z piasku zmieszanego m. in. z olejem i mączką kasztanową. Oglądałem włoski automat „Maff” do produkcji rdzeni kadłuba „fiata 125p”. Z kolei rdzenie wdmrują do formiarni, gdzie w masie formierskiej odciskają gotowe formy, które na przenośniku zostają zalane płynnym żelazem (pierwszy spust żelaza miał miejsce w FSC w roku 1957). Widziałem automatycznie sterowany angielski piec „Birelec” do wyżarzania odlewów żelaznych i zbudowaną dlań przestronną, wysoką, widną halę. To już pełna nowoczesność. Przy produkcji kadłubów, silników „fiata 125p” FSC daje tylko 0,5 proc. braków, czyli akurat tyle samo, co Włosi przy analogicznej produkcji.

Kadra w odlewni jest zresztą w ogóle pierwszorzędną, jak choćby 8-osobowa brygada Aleksandra Sokolowskiego, pracująca ze sobą od 10 lat, a produkująca rdzenie kadłubów „zuka” i „nysy” (ostatnio 1000 rdzeni w ciągu ośmiu godzin). Kadra więc

dobra, a fabryka rozpoczyna już budowę nowej odlewni, i to krzepi.

Spróbowałem opisać dwa, może najmniej wdzięczne i najtrudniejsze dla laika, ogniwa produkcji. Trochę się człowiek w tym wszystkim gubi. Te ogromne maszyny, piece żelazne. A z czego się składa żelazo, proszę pana? A m. in. z surowki hutniczej oraz złomu obiegowego i kupnego. Z czego zaś masa formierska? M. in. z piasku i pyłu węglowego, proszę pana. Takie to były rozmowy. Ale samochodu wciąż nie widać!

Blżej samochodu jest się więc w kołowni, nowym wydziale, uruchomionym w maju 1972 roku. Dzisiaj są już „pod wierzchem” z zakładaną zdolnością produkcyjną, będąc w tej chwili jedynym producentem kół samochodowych, do określonych pojazdów w Polsce. Nasze koła idą także do Szwecji, Finlandii i Anglii. Surowcem są tu pręty metalowe, odpowiednio sprofilowane w walcowniach; arkusze blachy. Aż przyjemnie patrzeć, jak to wszystko jest cięte, zwijane, prasowane, zgrzewane, spawane. Nawet nie wiedziałem, że moja „syrena” jeździ na kołach z FSC.

Obok jeszcze prawie manufakturalnej produkcji przy obręczach widać już półautomaty szwedzkie do przyspawania tarcz, automatyczną linię włoską do rozciągania obręczy. I może na przykładzie tego wydziału najbardziej wyraźnie rysuje się rozwojowy charakter całej fabryki. Bo oto hala kołowni została potężnie rozbudowana i poszerzona o nową piękną halę, gdzie betonuje się stanowiska dla automatycznych urządzeń fiatowskich, które będą produkowały koła dla całej rodziny polskich „fiatów”.

Wydajność przyszłej linii fiatowskiej — 600 sztuk kół na godzinę. Wydajność obecnej linii — 150 sztuk.

Mijając procesy tłoczenia blach na karoserie samochodowe, a przedtem jeszcze procesy krajania tych blach, później zaś ich spawania i lakierowania (sprawy gruntowania, szpachlowania, szlifowania, suszenia i tak w kółko), lakiernia zresztą jest chyba tzw. wąskim gardłem fabryki obok transportu wewnętrznego, a zatem pomijając te wszystkie kwestie, trzeba jednak parę słów o miejscu, gdzie rodzą się „zuki” — linii montażu w Zespole Samochodów Dostawczych.

Z linii głównej schodzi na dobę 120 samochodów. Tutaj wiele operacji z konieczności wykonuje się ręcznie, ale gdzie można wprowadzono mechanizację, jak choćby przy montowaniu opon i dętek na koła (kiedyś, gdy z taśmy schodziło kilka samochodów na dobę, pracę tę wykonywano łyżkami i wysiłkiem mięśni). Taśma w ciągłym ruchu, załoga młoda, zarobki do 4500 zł miesięcznie. U sufitu podwieszony cały system podnośników elektrycznych. One to przewracają i przesuwają poszczególne elementy samochodu. Tutaj się montuje „zuka” od surowej ramy począwszy. Szklenie, zakładanie instalacji, poszycie, zamków, montaż silnika, podwozia... — to elementy tego procesu. Na koniec jesz-

cze stanowisko diagnostyczne, lakiernia poprawkowa i w świat!

Przy jednym ze stojących na taśmie „zuków” rozmawiam o modernizacji tego samochodu. W zeszłym roku wprowadzono dwuobwodowy układ hamulcowy, co ewidentnie zwiększa skuteczność hamowania, w tym roku dźwignię zmiany biegów instaluje się w podłodze, co — jak się przekonali producenci na świecie — jest jednak wygodniejsze dla kierowcy. Podobno nawet w „syrence” tę dźwignię można z łatwością zainstalować w podłodze...

Na wielkim parkingu przed FSC stoi ciągle masa samochodów osobowych, na ogół polskich marek. To pojazdy pracowników fabryki. Ludzie zarabiają tutaj dobrze. Robotnicy kształcą się w przyzakładowej szkole zasadniczej, następnie w technikum. Ale osiągnąwszy status „inteligentamaturzysty”, nie schodzą z produkcji. Nie idzie już o to, że nowy Kodeks Pracy nie rozróżnia pojęcia „umysłowy” i „fizyczny”, a wprowadza tylko pojęcie „pracownik”. Idzie o to, że w produkcji można po prostu dobrze zarobić i produkcja czegoś pożytecznego i okazałego jest zarazem tytułem do zwykłego ludzkiego zadowolenia i satysfakcji z dobrze wykonanej roboty. Umieć coś zrobić i otrzymać za to godziwe wynagrodzenie!



„Zek A 16 M” wersja „rolnik”

wojskie obwieszczało, że „Nie nie potrafi przeskoczyć współpracy ZSRR i Stanów Zjednoczonych”, a zwycięska w niedawnych wyborach angielskich Partia Pracy obiecywała politykę „prawdziwej przyjaźni” w stosunku do Związku Radzieckiego. Świat zabiegał o względy Kraju Rad.

Tymczasem w Warszawie zakończono montaż 500 domków fińskich, podarowanych stolicy przez społeczeństwo radzieckie, i otwarto centralną rozgłośnię radiową w Raszynie. W uroczystości obok Bieruta, Roli-Zymierskiego, Kruczkowskiego, Wycecha i prezydenta stolicy Tołwińskiego uczestniczyli technicy radzieccy z generałem Ormielenką, którzy pomagali przy odbudowie obiektu. Także w sierpniu trafił do Polski duży księgozbiór zawierający publikacje z zakresu literatury pięknej, muzyki i architektury, przekazany przez ZSRR naszemu Ministerstwu Kultury i Sztuki oraz SARP-owi. Otrzymałmy też pierwszy transport chemikaliów dla przemysłu garbarskiego, a wojskowe władze radzieckie oddały do polskiej dyspozycji 13 holowników i 83 barki odrzańskie.

Na Lubelszczyźnie nie istniał wielki przemysł, nieliczne zakłady średniej wielkości leżały w ruinie. Tutaj majątek wyrastał z chłopskich pól. Zbięrano go, jak się dało. Czyli kosą i sierpem. Maszyn zniwnych było mało, brakowało sily pociągowej. Brakowało też rąk do pracy, szczególnie w powstających właśnie gospodarstwach państwowych, które czekało ogromne zadanie rekultywacji 100 tysięcy ha ziemi leżącej odłogiem w południowo-wschodniej części województwa. W takiej sytuacji znajdował się na przykład Państwowy Ośrodek Kultury Rolnej w Hruszczowie w pow. chełmskim. Posiadał 310 ha zboża i zaledwie trzy konie. W krytycznym okresie administracja ośrodka zwróciła się o pomoc do komendanta pobliskiego szpitala weterynaryjnego Armii Czerwonej, kapitana Iwana Pierejesławskiego, i do dowódcy pułku, Iwana Baranowa. Zaraz potem wzięło mocie przerosłoby przedsiębiorstwo wzmocniło trzynastu żołnierzy radzieckich i 26 taborowych koni... W jednym z sierpniowych numerów „Sztandaru Ludu” z 1945 roku odnalazł można podziękowanie administracji gospodarstwa, złożone wspomnianym oficerom radzieckim.

Pomoc ZSRR dla Polski w następnych latach nabrała jeszcze rozmachu. W okresie 1946 — 1949 otrzymałmy np. około 900 tys. ton zboża. 5 marca 1947 roku udzielono nam pożyczki w złocie na kwotę niemal 29 mln dolarów, a 3 września 1949 roku — na sumę 20 mln dolarów. Specjaliści radzieccy pomagali w odbudowie zniszczonego przemysłu, instalowały maszyny i urządzenia sprowadzane z Bugu. Stałmy się zarazem ważnym partnerem w wymianie gospodarczej ze wschodnim sąsiadem, oferując znaczne ilości surowców, głównie węgla.

Na Lubelszczyznę pierwsze radzieckie instalacje przemysłowe trafiły w 1948 roku, kilka miesięcy po rządowej uchwałę w sprawie budowy Krańskie Fabryki Łożysk Kulkowych (dziś — Łożysk Tocznych), mającej powstać na resztkach przedwojennej wytwórni sprzętu wojskowego. Według pierwotnych projektów zakład miał być wyposażony w maszyny importowane z krajów zachodnich, lecz w ostatniej chwili kontrahenci zerwali umowę, kierując się względami politycznymi. Pojawily się już pojęcia „zimnej wojny” i „żelaznej kurtyny”. W tej sytuacji szybkiej pomocy udzielił nam Związek Radziecki, dostarczając odpowiedni sprzęt i urządzenia. Do końca 1949 roku fabryka wyprodukowała pierwsze 6 tysięcy łożysk, przy okazji przyczyniając się do dynamizacji procesów miastotwórczych. Kraśnik liczył wówczas ok. 10 tys. mieszkańców, walczył z epidemią malarii, posiadał jedno, fatalnie zresztą zaniedbane, kino „Bałtyk” i bibliotekę złożoną z 800 książek. W starostwie zastanawiano się nad efektywną metodą wydobycia z analfabetyzmu 1400 osób, mieszkających w powiecie, i martwiono się, że z dwustu młodych drzewek, zasadzonych wzdłuż ulic i na skwerkach, przyjęło się zaledwie dziesięć. Ówczesna prasa niemal w ogóle nie wspominała o budowie i istnieniu fabryki, jedno jedyne zdanie przemknęło się przez łamy „Życia Lubelskiego” (nr 259).

W stosunku do takiego Kraśnika — Lublin był wówczas autentyczną metropolią. W październiku 1948 roku na ekranach kin „Apollo” i „Rialto” dominowały filmy sprowadzone „w ramach wymiany kulturalnej polsko-radzieckiej”. Pokazano m. in. „Świat się śmieje”, „Asa wywiadu”, „Iwana Groźnego”, „Czapajewa” i „Delegata floty”, wprowadzając przy tej okazji możliwość zakupu biletów na zakładowe listy zbiorowe. Sztukę pokazywano też na ulicach: radziecki „Czerwony krawat” wyświetlano na gmachu Okręgowej Komisji Związków Zawodowych przy Placu Litewskim; podobno obejrzało go 4 tysiące widzów. Równocześnie w „Rialcie” można przecież było podziwiać „Skarb Tarzana”. Ale kilka zaledwie kilometrów od śródmieścia czuć było wies podmiejską, wies lubelską. Tam właśnie, we wschodniej części miasta, połączonej ze śródmieściem piaszczystą drogą flankowaną aż do ul. Lubartowskiej bielonymi opłotkami, miała stanąć wielka fabryka samochodów.

Decyzję o budowie FSC podjęto jeszcze na Kongresie Zjednoczeniowym PPR i PPS w Warszawie w grudniu 1948 roku. Do realizacji przystąpiono wiosną 1950 roku.

Plany budowy, dokumentację techniczną i pokazną część parku maszynowego dostarczył Związek Radziecki. Ekipa specjalistów radzieckich pod kierownictwem inżyniera Czumakowa stałe przebywała na terenie budowy. Wielu polskich robotników,

techników i inżynierów przeszło szkolenie i praktykę w odpowiednich zakładach ZSRR.

„Majster Skossa z uwagą dokręca śrubki, reguluje, poprawia. Pracę jego rąk pilnie śledzą młodzi robotnicy — Dudek i Dzyr... Dziś, pod okiem majstra, przeszkolonego w Związku Radzieckim, nauczyli się dobrze pracować. Ob. Skossa chętnie opowiada o niedawnym swym pobycie w wielkiej fabryce samochodów w Gorkij, gdzie zapoznał się z taśmową produkcją samochodów” — relacjonował damski reporter w listopadzie 1951 r. a więc na kilka dni przed wyprodukowaniem pierwszych wozów „Lublin FSC-51”. Ekspresyjne i patetyczne były ówczesne publikacje, nie tylko na temat fabryki, bo ich stylizację kształtowała atmosfera tamtych lat.

„— Towarzyszu, czy zdążymy? — zagadnął brygadiera Witczymiszyna tow. Bałut.

— A co sobie myślisz? Musimy — głos brygadzysty brzmiał twardo. Wiedzieli, że ma rację, że inaczej być nie może”.

7 listopada o godz. 15 została uruchomiona w FSC taśma montażowa. Przed halą montażową zgromadzili się delegacje z całego województwa. Przędzący murarz wręczył dyrektorowi Gielewskiemu symboliczne klucze...

Pierwsze cztery samochody wypełnili chłopcy lubelscy, przejeżdżając spacerkiem przez umajone miasto.

Kilka miesięcy przed rozruchem FSC, w połowie 1951 roku rozpoczęto budowę cementowni „Rejowiec II”. Maszyny i urządzenia dostarczył Związek Radziecki, a konstruktorzy, chemicy i geolodzy z Leningradu współdziałali z polskimi specjalistami na wszystkich etapach tej inwestycji, określonej wówczas jako „gigantyczna”. Bo też w porównaniu z istniejącym tu od lat międzywojennych zakładem produkcji cementu była to sprawa wielka. Zresztą przy odbudowie dawnego „Firleja”, przemianowanego właśnie na „Pokój”, Związek Radziecki miał także swój udział, dostarczając zdezastrowanej przez Niemców cementowni pasy transmisyjne, smary, gips, węgiel.

W dniach, kiedy ruszała budowa „Rejowca II”, na lubelskim stadionie na Wieniawie koncertował zespół Aleksandrowa, upowszechniając w Polsce „Kalinkę”, „Katusze”, „Bradiagę”, „Daleko, daleko” i „Bandure” Solista Pankow odśpiewał po polsku „Ei, ty Wisła, modra rzeko”...

Ireneusz J. Kamiński

Eugeniusz Dolmatowski

ZNOWU PRZY STOLE...

Znowu przy stole witam świt różowy –
Nad stosem gazet pożółkłych, frontowych,
Nad zeszytami notatek pierwszymi
(W których miłości mej dalekie imię
Jest ciepło i razę wspomnianą).
Nad stertą strof: rymów zapomnianych...
Życie jak taśma biegnie i pamięta
Każdą rzecz – od pioniera do studenta.
A p. tem – zdarzeń wiekopomych rzesza,
W których poeta z żołnierzem się miesza.
I znów latami wzajemnymi dyszę,
I dziwno mi, że od tak dawna piszę
Jeden wiersz, pełen tych samych wynurzeń,
I wcale nie obawiam się powtórzeń:
Miłość ojczyzny, nienawiść do wroga
I wiara w życie!
Inaczej nie mogę.
Mało zrobiłem, to ledwie zaczątek,
Ze zdaje się – przede mną wciąż początek.
Ognisko zawsze wabi mnie w milczeniu –
Patrzę na życie ognia w zamyśleniu,
Ciągłe się zmianom dziwię promienistym,
Skreślom i wzlotom, i splotom, i świstom.
Niepowtarzalne acz podobne dzieje!
My starzejemy się, a wiek – młodzięje.

Przełożył Leopold Lewin

Eugeniusz Winokurov

ONA

Przysiądźcie, je, kawalek przepołowi;
Krzyknijcie mi: Jedz. Podałem się! Satrapka!
Rondlami grzmi, bogini pośród kobiet.
Siedzi nad książką. Podłogę zamiata.
W mej marynarce lazi na bosaka.
Rano już w kuchni śpiewa rozbawiona.
Miłość? A skądże?! Wątpię, no bo jaka!
Po prostu ot:
Odejdzie. A ja skonam

Przełożył Kazimierz Andrzej Jaworski

Eugeniusz Jewtuszenko

* * *

Mnie się podoba,
kiedy ktoś mi się podoba,
I z tym, że się podoba,
walczyć nie podobna.
Kiedy czyją zobaczę twarz dobrą i szczerą,
czy to cieśli,
żołnierza,
czy też inżyniera,
mam ochotę powiedzieć im jakoś niezgrabnie:
„Dziękuję wam serdecznie,
żeście tacy zasnili”

Mnie się także podoba –
wyznam to bez obaw! –
Gdy mi się jakiś człowiek bardzo nie podoba! –
Gdy widzę czyjeś twarzę wstrętne i nikczemne,
co swoją złość do ludzi chcą ukryć daremnie,
mam ochotę im niby niechętnie obwieścić:
„Dziękuję wam serdecznie,
że tak źli jesteście!”

Wy, ludzie – sowy,
ludzie o duszyczkach nocnych,
wy jesteście
dobremu najbardziej pomocni
I przez to, że wy dobrem zawsze pomiatacie,
właśnie mu pomagacie,
tak jest! –
pomagacie!

Zagadkowa jest dla was
ta trwałość i stałość.
A to zahartowała
dobro wasza małość.
I nie dacie mu rady przy całej swej wzdargzie
I przez to –
podobacie mi się jeszcze bardziej.

Przełożył Kazimierz Andrzej Jaworski

Kamena str. 6

Andrzej Wozniesiński

CHILE

Świadek mi powiedział „Niech będą przekleci!”
Bo człowieka
przed motłochem chichocącym
w drut kołczasty owinęli i powlekli
bez ubrania
po kamieniach kaleczących.

Wieniec miał cierniowy wówczas, chyba wiecie,
Syn Człowieczy, kiedy cierpiał swe katusze...
Tysiąc dziewięćset siedemdziesiąty trzeci
rok do krzyku zmusił nasze dusze!

Znowu słyhać jęki twe, Synu Człowieczy,
nie od setki, od tysiąca kołców rdzawych...
Lecz nie starczy oplakiwać straszną sprawę!
Dziś się w wieńcu golgotowym ludzi wleczę,
w wieńcu, który ma przewagę zwójów krwawych.

Przełożył Aleksander Chmielowski



Fot. Z. Zugał

Michał Łukonin

RANY

Rany nie rosną przecież –
zarastają.

Przestają boleć.
Nim ich nie zobaczysz.
Albo nim o nich zapomnieć nie raczysz –
wtedy się zaraz
przy tobie zjawiają.
Gdy się w rodzinie chowa dzieci wiele,
trza szyć na wyrost –
wystarczy na dłużej.

Nam też dawano
Do kostek szynę,
I bliźny nosić przyszło nam za duże.
Wojna
nie chcąc, byśmy w niej zblądziłi;
kuł ślady zostawiała należycie.

A dziś
znakami swymi
w każdej chwili
przed poblądzeniem przestrzega nas życie.
Wiem –
nie dacie mi nigdy spokoju.
Żyję w waszej niewoli codziennej –
Wyniesione z wojny rany moje,
I wy, moje rany powojenne.

Przełożył Andrzej Drawicz

Leonid Martynow

* * *

Zdarty mój żagiel,
Łata na łacie,
Lecz nie najgorzej służy w potrzebie.
Kocham cię. I cóż starość znaczy,
Skoro ja kocham ciebie!

Myszę,
Ze obojgu nam pozostało
Tylko to jedno, być może,
Kocham cię, by się burzyło I grzmiało
Tak spokojne chwilami morze.

Ciągną chmury złowieszcze,
W szwach trzeszczy
Statek. Lecz ty nim wladasz. Ku brzegom
Ty go prowadzisz. Cóż znalazłbym jeszcze
Nad moją miłość piękniejszego!

Przełożyła Irena Piotrowska

Robert Roźdiestwiński

MONOLOG WIOSENNY

Tuż za prógłem –
są przestrzenie niezbadane;
Więc do jednej z nich
kupuję ja bilety...

Tam pod oknem
pośród nocy rozśpiewanej
Produkuje się
Chuligan
Lub poeta...
Zwariowany deszcz
stuka prosto w szyby

Rynna tyka
wodę – wodę
jak przepita!
I nad ziemią przeciągnęło się jak gdyby
Wieczny pokój – płótno nieba,
aż błękitne.

Świat jest wielki,
Ale dzisiaj w świecie ciasno!
I pod deszczem każdy człowiek się zatracza...
Gdzie jesteście me orkiestry?

Wy musicie wyjść
i zagrać na tych placach!...
Wszystko wiosną jest:

I chęci,
I uczynki,
Kroki ludzkie, które dudnią po brukowcu.
Wszystko wiosną jest: aleje,
chrypki,
minki,

Nawet wiatr
wczorajszą trawą tak pachnący.
Wierzę szczerze,
że uśmiecha się ten wietrzyk,
Wierzę, że łagodny powiew jest

I silny,
W wartownika, który się zakochał, wierzę.
I nie wierzę dziś jedynie
w śniegi sine.

Bo na śniegi, które leżą,
ciepło wieje!

Małe słonko
każdą szybę opromienia.
I strumyki
jak młode Jeniseje
Mkną do kałuż –
co w ocean się zamienia!

Wszystko pędzi,
wszystko piętrzy się,
szamoce.
To dopędza wiosnę,
To zostaje w tyle...
Wkrótce będzie.
Coś na pewno wkrótce będzie.
Najważniejsze coś,
Co musi zająć tej nocy.

Przełożył Walerian Arcimowicz



Fot. Z. Zugał

Arkadiusz Kuleszow

SNOPY

Bo ma poeta swój osobny nadział
Pośród nie tkniętych lemieszem ugorów,
Tam grzbiet zginając za plugiem wciąż chadza
Od brzasku życia po wzejście wieczoru;

Ma ziarna myśli, garściami zbierane
Wzdł. ż lat gościńców, którymi wędrował –
A dane nie jest wzejść szumiącym lanem,
który zabarwi dojrzalą woskowi;

Ma serce, które nie stygnie wśród drogi
I słowom ciepła, i światła użycza –
Bez niego zagon dałby plan ubogi,
Bez niego nie ma rozkwitu i życia;

Ma dług najwyższy, który bez ochyby
sobie i innym splanąć winien światcie...
I niechże krając w pierwszym wersie skiby
Skoszono snopy już wiąże w poincie.

Przełożył Tadeusz Chróścielewski

Okolice sztuki

Kontrapunkt Chwałczyka

W MARCU i kwietniu w chelmskiej „Galerii 72” pokazano swoje realizacje przestrzenne oraz bardzo wczesne monotypy Jan Chwałczyka. Wieloletnia i znacząca w panoramie sztuki dzisiejszej aktywność tego artysty przybrała różną postać, lecz niemal zawsze, a przynajmniej od połowy lat sześćdziesiątych, jej istotą był badawczy stosunek do rzeczywistości, powiedzmy, fizycznej. Chwałczyk interesował się problemami współczesnej nauki i techniki i z tych rejonów czerpał przesłanki do własnej twórczości. Pamiętamy jeszcze udział artysty w puławskim sympozjum w 1966 roku,

którego program wyjątkowo zgodnie współbrzmiał z przekonaniami autora ruchomych i operacyjnych światłem konstrukcji. Z tego też źródła wywodzi się „Światline obiekty przestrzenne” pokazane na V wystawie „Złotego Grona” w Zielonej Górze w 1971 roku. Już jednak wtedy obiekt materialny, budowany z elipsoidalnych form umocowanych w czworobocznych węgłkach, zaczął przestawiać się w ilustrację do rozbudowanego komentarza ustaleń matematycznych i wykresów.

Tak zatem Chwałczyk, wychodząc do swym działaniu ze sfery pojęć definiowanych przez naukę, konstruował początkowo samoistne, autonomiczne przedmioty kinetyczno-światline, aby w ostatnich latach odwrócić kolejność i zdegradować owe konstrukcje do roli swoistej glosy spekulacji fizyko-matematycznych. W kontakcie ogólniejszych przeobrażeń sztuki dzisiejszej, owocujących m.in. konceptualizmem, był to proces naturalny, ale prowadzący jednocześnie do całkiem oryginalnych efektów. To insynuujące: twórczość wrocławianina, której tak łatwo przyłożyć stemplek scentystyczny, zawsze wyzwała klimat poetyckiej prowokacji.

Chwałczyk nie byłby sobą, gdyby w czasach światowej medytacji nad istotą, zakresem i społecznym miejscem sztuki, poprzestał na wykonywaniu konstrukcji będących albo w centrum, albo na poboczu złożonej struktury artystycznej. W lipcu 1972 roku sformułował krótki tekst, sygnalizujący wspomniane problemy teoretyczne, który stał się powodem szerokiej akcji o nazwie „Kontrapunkt”,

niejako zbilansowanej w specjalnym wydawnictwie towarzyszącym wystawie. Czego? Realizacji, wypowiedzi, katalogów, słowem — różnorodnych opinii, refleksji i deklaracji 63 autorów z Europy, Ameryki i Azji. Obok artystów w akcji Jana Chwałczyka wzięli udział krytycy sztuki, co mimochodem potwierdziło zanik granicy kompetencji między tymi grupami, granicy do niedawna wyraźnej, a nawet ostrej.

Zawartość owego wydawnictwa każe widzieć w nim jedno z podstawowych źródeł informacji o stanie świadomości artystycznej na początku lat siedemdziesiątych, jest to publikacja bardziej od innej sprawy reprezentatywna od innych, pokrewnych, sygnalowanych np. przez ugrupowania wrocławsko-warszawskie.

Znamienne, że artyści zachodni wyjątkowo często i mocno atakują założenia ideologiczne świata kapitalistycznego i tamtejszą praktykę życia społeczno-ekonomicznego, powołują się na Marksa, utożsamiają twórcę z człowiekiem permanentnie i gwałtownie reagującym na wydarzenia polityczne oraz takie rozstrzygnięcia, które mistyfikują konsumpcyjny charakter kultury zachodniej.

„Artysta musi — obwieściła Kandydyczka Paul Woodrow — dążyć do zniszczenia obecnego mitu kultury jako sztuki, filozofii, teatru itd. i skierować swą uwagę na krytyczne przebadanie form ideologii kapitalistycznej, a mianowicie praw i praktyk rządzących rynkiem, konsumpcją i użytecznością, które ponoszą częściową odpowiedzialność za reifikację przed-

miotów. Artysta musi zdemistyfikować przedmiot i stosunki społeczne.” Szukając wsparcia w dziełach Marksa, autorzy dowodzą przecież w swoich deklaracjach, że przez niektóre rozdziały przesłanki zbyt pospiesznie. Tenże Woodrow największą skuteczność społeczną oddziaływania wiąże z akcją indywidualną, konkretnie — anarchistyczną. Niektóre jego diagnozy są jednak wyjątkowo niebanalne i trafne. Warto, aby zapoznala się z nimi np. nasza krytyka literacka.

„Dehumanizacja, alienacja, dezintegracja oto tematy dla współczesnego pisarza i dramaturga (Beckett, Ionesco, Pinter). Sztuki te zawiodły jako krytyka systemu dlatego, że zostały wchłonięte przez ten właśnie system, który miały atakować.”

„Kontrapunkt” mówi, że mniej więcej wiemy już, co się czai w powietrzu i w jakim kierunku patrzy dziś artysta. Jest to obszar spraw ideologicznych i społeczno-ekonomicznych, poddawany krytyce czy chociażby uważnej obserwacji. Podśmiewają się niektórzy z takich aspiracji, wskazują na ich infantylność lub utopię, co na jedno wychodzi. Ja także nie wierzę, aby sztuka — pod jakąkolwiek postacią — posiadała dziś siłę przekształcania świata. Ufam przecież, że świat ten potrafi rozpoznać, konkretyzując przeczcucia i niepokoje zbiorowości.

Obok ZPAP, BWA i Galerii Sztuki Kreatywnej — współwydawcą antologii „Kontrapunkt” był Wydział Kultury i Sztuki dla miasta Wrocławia i Województwa Wrocławskiego przy Urzędzie Miejskim, o czym wspominać nie bez powodu.

IJK

NA wstępie, jako że przyjechałem z Lublina, opowiedziano mi historię, która zakończyła się całkiem niedawno, a związana jest właśnie z naszym miastem. Dla niektórych będzie to może historia nieco lżawą, ale dla jej bohaterów ma całkiem inną wartość, świadczy bowiem o przyjaźni i wdzięczności, która przetrwała lat 30 i trwa nadal.

Otóż pod koniec ub. roku do oddziału Związku Radzieckich Towarzystw Przyjaźni i Kontaktów Kulturalnych z Zagranicą w Irkucku zgłosił się starszy już mężczyzna, Mikołaj Bryzgałow. Prosił, aby organizacja pomogła mu w odszukaniu mieszkanki Lublina, Krystyny Sawińskiej. I opowiedział swoją historię.

Jako żołnierz 10 korpusu desantowego w połowie roku 1942 wraz ze swą kompanią został zrzucony na tyłach frontu, gdzie działali partyzanci radziecy. W czasie żańdanych walk kilkakrotnie go raniono, wskutek czego dostał się do niewoli niemieckiej. Najpierw wysłano go do obozu koncentracyjnego w Rosławiu, potem krótko był w Zamościu, wreszcie trafił na Majdanek. Wkrótce zorientował się, że na Majdanku działa tajna organizacja antyfaszystowska, ale nie udało mu się nawiązać z nią kontaktów. Był przecież więźniem nowym i zdawał sobie sprawę, że na zaufanie działaczy tej organizacji musi sobie dopiero zasłużyć.

Kiedyś w czasie pracy Bryzgałow doznał obrażenia ręki. W czasie badania przez lekarzy niemieckich udawał, że rana jest lekka, zdawał sobie bowiem sprawę, że jeżeli zostanie uznany za niezdolnego do pracy, czeka go śmierć. Udało się, na kilka dni umieszczono go w bloku chirurgicznym. I wtedy przyszedł do niego znajomy czołgista mówiąc, że mimo wszystko powinien pójść do pracy w jakąś określoną część miasta — dziś już nie pamięta w jaką. Tam po bandażu rozdzina go polska dziewczyna imieniem Krystyna, od której otrzyma lekarstwa, środki opatrunkowe i narzędzia chirurgiczne, tak bardzo potrzebne dla ratowania życia jeńców w obozie.

Po kilka razy w tygodniu, przez trzy miesiące, Krystyna i Mikołaj ofiarnie wypełniali swoje zadania. Zbierane wśród polskiej ludności Lublina lekarstwa i żywność uratowały życie wielu ludziom. Ale pewnego dnia hitlerowcy zarządzili dokładną rewizję wracających z pracy. U Bryzgałowa znaleziono kilka ampułek nowokainy. Za karę został na miejscu zbity do nieprzytomności. Gdy ją odzyskał okazało się, że szukają go strażnicy — oznaczano to niechybną śmierć. Znajomi zadeklowali go szybko na oddziale gruźliczym, dokąd Niemcy bali się wchodzić. Potem z fałszywym numerem wrócił do bloku chirurgicznego i raz jeszcze spotkał się z Krystyną. Dała mu wtedy swój adres, zapamiętał go, ale gdy po wojnie usiłował odszukać ją, listy wracały z dopiskiem poczty: adresat nieznan.

Tym razem poszukiwania zakończyły się sukcesem, chociaż trwały kilka miesięcy. Panią Krystynę, już pod innym nazwiskiem, odnaleziono w Poznaniu. Mikołaj Bryzgałow natychmiast przyjechał do Polski i spotkał się z polską kobietą, która jemu i wielu jego towarzyszom ocalała życie, wielokrotnie narażając własne...

W przededniu Dni Kultury Radzieckiej rozmawiam w Warszawie z pracownikami Domu Kultury Radzieckiej, agencji Novosti i redakcji tygodnika MKM „Kraj Rad”. Na pierwszym piętrze Domu Kultury Radzieckiej czynna jest właśnie kolejna wystawa fotograficzna, — o flocie radzieckiej. W bibliotece na parterze ponad 70 tys. książek w języku rosyjskim, ukraińskim, białoruskim i wielu innych, a także polskim. W ciągu kilku minut moż-

ŚPIEWA SIĘ SERCEM

na otrzymać bibliografię na każdy żądany temat. W kawiarence „Przyjaźń” autentyczne bliny rosyjskie, kaukaskie szaszłyki, syberyjskie pielmieni i inne specjalności...

Alte rozmowy są dosyć trudne. Co chwilę odzywają się telefony z całej Polski. Prasa codzienna ogłosiła już długą listę solistów i zespołów radzieckich, które przyjadą z okazji dorocznego Dnia Kultury Radzieckiej. Sypią się zaproszenia z Lublina, Chelma, Poznania, Szczecina... W obu redakcjach też gorączka, bo przygotowuje się specjalne publikacje, dobiera fotografie, uzgadnia dodatkowe terminy z drukarniami.

Więc pozostają tylko okruchy czasu, wypełniane pojedynczymi informacjami. Myślę jednak, że w sumie tworzą one jakiś obraz tego, co w dziedzinie kultury dzieje się u radzieckich przyjaciół.

A więc właśnie teraz w Gdańsku i Malborku kręci się fragmenty dwuczęściowego, szerokoekranowego filmu radzieckiego „Legenda o Dylu Sowizdrzale” — druga wersja ukaże się jako 13-odcinkowy serial telewizyjny.

Równocześnie we Wrocławiu trwają przygotowania do polskiej prapremiery baletu kompozytora białoruskiego Eugeniusza Glebova pt. „Dyl Sowizdrzał”, wrocławianom pomagają w tym artyści z Mińska. W Mińska zaś w tym samym czasie odbędzie się premiera moniuszkowskiej „Halki” w reżyserii dyr. B. Jankowskiego z Wrocławia.

W 30-lecie zwycięstwa nad faszyzmem w Warszawie, jest tam m. in. zbiór 58 prac radzieckiego malarza i rysownika Mikołaja Macedońskiego. Może ktoś z nas na jednym z portretów czy szkiców scen walk rozpozna siebie? Bo Mikołaj Macedoński jako żołnierz i Armii Wojska Polskiego przeszedł drogę bojową od Sum do Berlina, w przerwach walk rysując i malując. Kiedyś na froncie jego prace zobaczył ówczesny major, dziś wiceminister Obrony PRL gen. broni Józef Urbanowicz i powiedział: „Przyjdźcie do Polski, urządzimy wystawę”. I rzeczywiście, Macedoński wystawił swoje obrazy w naszej stolicy już w 1945 roku, a po 30 latach podarował je Muzeum WP. Drugi jego cykl obrazów, związanych z Polską — „Leninowskie miejsca w Polsce” — jest ozdobą muzeum w Szuszeńskim.

W polskich księgarniach pojawiają się pierwsze komplety zakończonej właśnie edycji sześciotomowej pracy zbiorowej pt. „Historia literatury narodów ZSRR”. Jest to pierwsze i bardzo szczegółowe omówienie pięćdziesięcioletniego dorobku twórców wszystkich narodów, zamieszkujących olbrzymi obszar ZSRR. Publikacja ta zawiera artykuły i eseje prawie 300 autorów, całością prac kierował Instytut Literatury Światowej im. Gorkiego Akademii Nauk ZSRR, przy współpracy 40 specjalistycznych instytutów. Te same zespoły przygotowują się do opracowania dwóch następnych problemów: rozwoju poszczególnych gatunków wielonarodowej literatury radzieckiej, a następnie historii krytyki literackiej.

Chyba warto przetłumaczyć na język polski jeden z ostatnich bestsellerów radzieckich — powieść Władimira Bogomolowa „W sierpniu 1941”. W roku ub. drukował ją miesięcznik „Nowyj mir”, przed kilkoma tygodniami ukazała się w formie książkowej i natychmiast znikła z półek. Jest to powieść poświęcona żołnierzom kontrwywiadu, pokazująca bohaterstwa walki ludzi radzieckich oraz zbrodnie w walce braterstwa broni różnych narodów, w tym także braterstwa polsko-radzieckie. Niezwykle powodzenie powieści spowodowało, że jest ona już ekranizowana w grupie filmowej, którym kieruje Grigorij Czuchraj, twórca pamiętnej „Ballady o żołnierzu”.

Trudno czasami porównywać dwóch artystów, zwłaszcza w tak specyficznej i wielowarstwowej sztuce, jaką jest piosenka estradowa. My mamy swojego Fogga, w Związku Radzieckim podobną popularnością cieszy się Leonid Utiosow, który właśnie obchodził 80 rocznicę urodzin. Na swój jubileusz przygotował program pt. „Kiedy przychodzi młodość”, twierdząc, że przychodzi właśnie wtedy, gdy ma się 80 lat. Śpiewał w Moskwie razem ze swoim zespołem jazzowym, którym kieruje od 47 lat.

Na płyty i taśmy Utiosow nagrał 760 pieśni, stanowią one razem prawdziwą kronikę muzyczną ZSRR. Pisali dla niego najznakomitsi kompozytorzy, z Dunajewskim na czele. „Pieśni nie śpiewa się głosem, lecz sercem” — twierdził piosenkarz, który przed kilku laty był honorowym gościem festiwalu w Sopocie.

Wśród różnych zespołów, które w drugiej połowie kwietnia przyjadą do naszego kraju, znajdzie się leninogradska grupa estradowa „Drużba”. Jego niewatpliwą atrakcją jest piosenkarka polskiego pochodzenia — Edyta Piecha. Występowała w Polsce już kilka razy, teraz program przewiduje, że usłyszeć ją będą mogli również mieszkańcy Lublina. Zespół powstał dokładnie przed 30 laty. Ówczesny student Wydziału Kompozytorskiego Konserwatorium w Leninogradzie (a zarazem absolwent Wydziału Dyrygencko-Chorałowego) — Aleksander Broniewicki usłyszał przypadkiem, jak jedna ze studentek piekną śpiewała polską piosenkę „Czerwony autobus”. Natychmiast wezwał ją do istniejącego przy Konserwatorium chóru polskiego, którego był dyrygentem.

Ale Broniewicki chciał jednocześnie stworzyć zespół wokalny muzyczny — Edyta została jego pierwszą solistką. Potem przychodzili inni, a każdy przynosił piosenki swojego narodu — rosyjskie, białoruskie, estońskie, francuskie... Z tej właśnie międzynarodowej przyjaźni i współpracy zrodziła się nazwa zespołu — „Drużba”.

Innym z solistów, którego będziemy gościć, jest Kirył Kondraszyn. Po studiach muzycznych najpierw grał w orkiestrze, ale już przed wojną zdobył dyplom honorowy na Wszechzwiązkowym Konkursie Dyrygentów. Od 32 lat jest dyrygentem w moskiewskim Teatrze Wielkim, z orkiestrą tej placówki występował w kilkunastu krajach. Płyty z jego nagraniami, w tym także moniuszkowskiej „Halki”, cieszą się w ZSRR olbrzymim powodzeniem.

Prasa polska w ostatnich latach kilkakrotnie pisała, że w naszym kraju przebywał pisarz i dziennikarz radziecki, Lew Sławin. Jest autorem dokumentalnej książki „Ostatnie dni faszystowskiego imperium”. W czasie wojny był korespondentem dziennika „Krasnaja Zwiezda”, następnie „Izwestii” i jako bezpośredni świadek historycznych wydarzeń opisuje oblężenie Berlina oraz podpisanie kapitulacji.

Ale jeszcze w czasie wojny Sławin zaczął pisać następną powieść, której akcja toczyła się na ziemiach polskich w zimie na przełomie lat 1944—1945. Potem doszedł do wniosku, że zebrany w czasie wojny materiał należy rozszerzyć, odnaleźć wielu ludzi, z którymi stykał się na froncie i jego bezpośrednim zapleczu. Nauczył się języka polskiego, zwiędzał pas frontowy i przyfrontowy na Wyżynie Sandmierakiej, na Lubelszczyźnie, w okolicach Warszawy, rozmawiał z wieloma ludźmi, przewertował w archiwach pamiętniki, pisma podziemne i żołnierskie. Obecnie powieść jest już gotowa, akcja kończy się wyzwoleniem ziem polskich i zdobyciem Berlina. Oby jak najszybciej została przetłumaczona na język polski.

Śluchał i rozmawiał Jerzy Dostatni

WAJDOWSKA IMPRESJA

Wiesław Horabik

Z ROZMAITYCH wskazań teorii sztuki jedno pozostaje niezmiennie aktualne: sztuka musi być nosicielem trwałych wartości. Dotyczy to nie tylko produkcji artystycznej danego okresu, lecz także sztuki operującej na materiale historycznym, na dziejach przeszłości. Dobra powieść historyczna, na przykład, to taka, która zawsze może być odnośnikiem do współczesności, a jeśli nie jest, to odkrywa mechanizmy, które koła historii popychają naprzód, które są motorem napędowym dziejów. Dobra powieść historyczna może laniej obejść się bez szczegółów epoki, bez stylizacji językowej i prawdziwości wydarzeń, ale bez aktualności procesowej, czy ideologicznej dobrą być przestaje.

Nawoływania do problemowej aktualności sztuki rozlegają się u nas (i nie tylko) nie od dziś i wszędzie tam, gdzie problemy sztuki są podejmowane. Ustawiczny dylemat twórcy, co prawda bardziej intuicyjny niż wyrozumowalny — aktualność życia własnego narodu, czy aktualność życia ludzkości w ogóle — to jedno z najistotniejszych uniesień pasji twórczenia i jedyny dostępny wielkiej sztuce wybór. Poza tę aktualizację rzadko świadoma sztuka wychodzi.

Niewiele twórców współczesnych postawiło sobie w naszej powojennej sztuce tak ambitne i szerokie zadania jak Andrzej Wajda. Reżyser przede wszystkim ustawicznie poszukujący polskiej duszy w napoleońskich rzeźbach, w kawaleryjskich szarżach Września, w rozdarciu rozbiorowym, w mroku naj-

ciemniejszej okupacji i we współczesności rozbrzmiewającej wciąż jeszcze bolesnymi obrachunkami, ale formującej się coraz wyraźniej w nowy polski wizerunek. Reżyser ustawicznie penetrujący „ja” narodu, oświetlający obrazami spory szmat polskiego trwania.

I mamy „Ziemie obiecane”. Film wyszeptany, film wyanonsowany, film już „rozpisany” w prasie. Słowo ciałem się stało. Kolejki i u nas będą i u nas stać będziemy po filmie roztrzęsieni i pełni gorączki. I ja tak stałem. I myślałem, czy nie objawiło mi się objawienie, dopóki emocje nie ułożyły się w spokój, w rozmazanie na chłodnym szkle. I dlatego chciałbym z Wajdą inaczej.

Wajda zabiera nas w podróż, która pełna jest efektownych niespodzianek, opracowana do najdrobniejszych szczegółów, wstrząsająca i najeżona emocjami. U końca drogi stajemy jednak przed krajobrazem, który odkrywa się, jak okiem sięgnąć, pusto i jałowo. Rozrzucone hojną ręką kolorowe szkła nie schodzą się w spójną mozaikę, nie zbiegają się w całość. Wajda powrzucał je bowiem tylko do eksportowego worka.

Zacznę od „polskiej duszy”, bo to koronny wajdowski szlak poszukiwań. Polski dwór, ocieniony sylwetkami wiekowych drzew, wymuskany i pobielony i jakby za sfrancuzczony, bosy Michaś i tłusty Dobrodziej, charty wałęsające się u nóg, konne odkrywanie lasu i dworskich łąk, te pokoje pełne obłożonych tradycją szabel i kindżałów i portretów srogich podgoleńskich przodków. I ta mgła polska,

leпка i ciągnąca się po polskiej jesieni. Sielskie szlachectwo wciąż kołatające w polskiej świadomości i wciąż ważne, kiedy o Polsce zaczniemy. Konflikt jednakże biegnie w inną stronę, niż ten powojenny naszych ojców, w którego aktualność uwierzyć by jeszcze można. Szlachectwo wołające starczym głosem o hołd dla tradycji umiera podeptane przez ... kapitalizm.

Dla Myśliwskiego we współczesnej wielkiej rzeczywistości konflikt dwór — chłop wciąż jeszcze waży, wciąż jeszcze ciąży i umierając jednak jeszcze żyje. Może to i tak. My też mamy z tym swoje rozrachunki. Nikt jednak nie wmówi mi, że konflikt dwór — przemysłowy kapitalizm jest w polskiej świadomości żywy. A zatem pustka.

W kontraście do dworu, rozjaskotany i ogniem gorejący moloł budzący się kapitalizm. Robotnicza Łódź z pałacami magnatów pieniądza i brunatnymi prostokątami manufaktur, z kalekami w rynsztokach, z brudem, smrodem i degeneracją. Z ludzkim nieszczęściem i bezwzględnością świata opętanego magią pieniądza. Z koniecznością wegetacji i chciejstwem bogacenia się. Z tłumami chytrych i po swojemu mądrych Żydów i brutalnie bezwzględnych Niemców. A gdzież w tym mój problem? A może to wizerunek kapitalizmu w ogóle? Nie oszukujmy się. Dzisiejszy kapitalizm jest o wiele bardziej elegancko brutalny i każdy dobrze o tym wie. A może to znowu przyczyną do „polskiej duszy”? Wypełnienie portre-



SA dość dużą grupą zawodową, a wciąż jeszcze jest ich w naszym kraju za mało. Bezpośrednio po wojnie dyplomowanych pielęgniarek mieliśmy tylko 6 tysięcy, a teraz liczba ta sięgnęła 130 000. Stwierdza się powszechnie, że jakość ich wiedzy jest także o wiele wyższa. W pierwszych latach po wojnie dopuszczono do zawodu tysiące dziewcząt i kobiet przyuczonych na kursach, a ich niedouczenie wpłynęło na obniżenie poziomu całego pielęgniarstwa, ukształtowanie się negatywnych opinii społeczeństwa i lekarzy. Czy jednak sądy te tak bardzo się utrwaliły, że wciąż jeszcze można je usłyszeć? Czy może jest za mało podstaw, aby je zmienić na lepsze? Pragnę więc dociec w rozmowach z zainteresowanymi, jaki jest obecnie status polskiej pielęgniarki, czy zawód ten osiągnął potrzebną mu rangę, jak układają się powszednie stosunki między średnim personelem białym a lekarskim, jakie miejsce zajmuje w tym kontekście człowiek chory.

Opinia społeczna jest podzielona, to prawda. Nieliczni wyrobili sobie obraz pielęgniarki na wzór nieszczęsnego filmu telewizyjnego pt. „Doktor Ewa”, gdzie jednak znaleźć dzisiaj aż taką niedojdę — jaką tam pokazano? Gdyby sięgnąć do przykładu województwa lubelskiego, okazałoby się, że na całym jego obszarze pracuje zaledwie 27 tzw. młodszych pielęgniarek, a więc nie posiadających pełnego średniego wykształcenia medycznego, ale i one mają odpowiednie doświadczenie, aby mogły w tym zawodzie nadal pracować.

Rozmawiałem z przewodniczącą Lubelskiego Oddziału Wojewódzkiego Polskiego Towarzystwa Pielęgniarskiego, Zuzanną Dumałową. Poza tą funkcją społeczną jest ona przede wszystkim nauczycielką zawodu Medycznego Studium Zawodowego, ale obowiązek ten wypełnia wraz z uczennicami na Oddziale Chirurgii Ogólnej Kliniki Akademii Medycznej, bo przede wszystkim czuje się pielęgniarką. Na całej Lubelszczyźnie pracuje 4377 pielęgniarek, w tym 3798 dyplomowanych, 552 asystentki pielęgniarstwa i wreszcie wspomnianych już wyżej 27 młodszych pielęgniarek. Jest to stan diametralnie inny niż przed trzydziestu, dwudziestu, a nawet dziesięciu laty. I zadania są także wyższe.

W klinice i w każdym szpitalu spotyka się przede wszystkim ciężkie przypadki. Postęp w medycynie jest ogromny, a pacjent oczekuje nie tylko opieki, ale nieustannie także informacji o swojej cho-

robie, znaczeniu zabiegów i aplikowanych leków. Pielęgniarka nie może już poprzestać na wiedzy zdobytej w studium lub liceum. Chirurgia wkroczyła w klatkę piersiową, sięgnęła serca, przeszczepia nerki. Stosuje się teraz np. kontrolne badania naczyniowe, przy których pomocy można ocenić m. in. stan narządów mięsnych, takich jak wątroba, trzustka, tarczycza, nerki, płuca. Psychiczne przygotowanie pacjenta, objaśnienie go o przebiegu i celu takiego badania, to zadanie współczesnej pielęgniarki. Obciąża ją bardzo, zmusza do ciągłego studiowania wiedzy medycznej.

Lekarz najczęściej zaleca teraz leczenie zachowawcze i pomocne są mu w tym dziesiątki nowych leków. I znowu pielęgniarka powinna to wszystko opanować, przynajmniej w tym stopniu, w jakim jest to konieczne. Będąc bliżej chorego niż lekarz, musi przecież czasem kojarzyć niekiedy z minuty na minutę, skuteczność lub nawet szkodliwość stosowanego sposobu leczenia i wyciągać z tego natchmiastowe wnioski, komunikować je przełożonym. Z tej przyczyny pacjent nie raz i nie dwa zawdzięcza życie nie tylko lekarzowi, ale właśnie także pielęgniarce, która w porę spostrzegła niebezpieczeństwo. A gdyby tej nowej wiedzy nie posiadała, gdyby nie potrafiła stać się odpowiedzialną, najbliższą pomocnicą lekarza? Zasady etyki zawodowej zostały sformułowane jednoznacznie: *pielęgniarka przyjmuje całkowitą odpowiedzialność za wykonywanie czynności leżących w granicach jej uprawnień zawodowych, wykazując przy tym inicjatywę i czynną postawę.* Wraz z postępem wiedzy medycznej wzrastają więc także bardziej obowiązki białego personelu średniego.

Jaką rangę posiada dziś ten zawód? Naczelny dyrektor Zespołu Opieki Zdrowotnej w Krasnymstawie, Roman Kowalczyk, uważa, że od pewnego czasu pielęgniarki w tym powiecie rzeczywiście, w swej większości, stały się niezwykle odpowiedzialnymi partnerkami lekarzy. Rangę zawodową wyrabiają sobie indywidualnie i zespołami, zarówno w oczach chorych jak i przełożonych, wyłącznie dobrą pracą, kompetentną pielęgnacją, wnikaniem w psychikę pacjenta, jego potrzeby, niepokoje, ogólne samopoczucie.

— Przyznaję — mówi mi Maria Szymaniak, naczelna pielęgniarka ZOZ w tym powiecie — zdarzają się w przychodni i szpitalach osoby nie przynoszące nam zaszczytu, pracujące bez pasji i leniwe: „Proszę się odsłonić” i cyk, igła w ciału, już po zastrzyku. Nie porozmawiają, są jak nieme, a oprócz lekarstwa pacjentowi są potrzebne także serdeczność, zwykłe, ludzkie słowa. Pielęgniarka — rzemieślnik, nawet o najlepszej i odnawianej wiedzy, osiąga tylko połowę pożądanego efektu le-



czenia. W naszym ZOZ-ie zmieniliśmy tak wiele, że od dłuższego już czasu nie spostrzegamy tego rodzaju uproszczonego i chłodnego działania. Nie ma też skarg na tego rodzaju postępowanie. Autorytet pielęgniarki w oczach chorego rośnie, tym bardziej że wielu lekarzy, szczególnie starszych, docenia rolę średniego personelu i daje temu wyraz. Ranga naszego zawodu jest jednak wciąż jeszcze nieco niższa od nauczycielskiej. Pod względem wykształcenia pielęgniarka i nauczycielka w zasadzie są sobie równe. Pierwsza ukończyła dwuletnie studium pomaturalne w naszej dziedzinie, druga także dwuletnie studium, ale nauczycielskie. Tradycja każe jednak nadal rodzinie na pierwszym miejscu widzieć pedagoga. Część spośród ludzi tego zawodu zdobywa teraz dyplomy wyższych uczelni, ale zdarza się to przecież także i u nas. Pewne zmiany na lepsze odczuwa się jednak w stosunku do nas po udostępnieniu bezpłatnego leczenia dla całej wsi. Odeszły już w zasadzie, posiadające kiedyś duży autorytet, babki, zwłaszcza ziół wszelakich. Teraz pielęgniarki z wiejskich i gminnych ośrodków zdrowia oraz wędrujące po domach siostry środowiskowe zmuśnięte zdobywają poważanie dla naszego zawodu.

Podobnie o pielęgniarkach środowiskowych powiedziała mi przełożona Rejonowej Przychodni nr 16 na Kalinowszczyźnie w Lublinie, Alicja Chemperek. A w samej Przychodni? Znaczenie roli średniego personelu podniosło się wyraźnie, zarów-



dowany bezustannie gorączkowymi poszukiwaniami nowej sztuki, osiąga pewien stopień artystycznego wyrefinowania. Konstrukcja bez zwałowej idei, panującej nad całością rozprasza go i pozostawia uczucie rozbiegania.

A jakaż jest idea Wajdy?

W jednej z prasowych dyskusji usłowoano przekonać mnie, że to głównie film o niszczącym działaniu polucji i zabójczych skutkach urbanizacji. Piękny temat i jakże na czasie! Problem, który trwoży świat. Ale tutaj bodaj leży główny błąd Wajdy. Przez fantastyczną obsadę aktorską, najeżenie obrazu szczegółami epoki, nawarstwienie dramatyczne samego dzieła spycha ten temat na margines. Zanieczyszczenie jest, i jest umieranie natury, a z nią piękna, i jest pejąca kopcących kominów. To nasz problem, to problem świata, ale to jeszcze jedno jabłko, z którego dostał mi się tylko kasek.

Jedyna możliwa interpretacja, którą wybieram, to wielkie miasto zabijające humanizm i indywidualność człowieka; ale przez te wspinał się typy Żydów i wielkiego kapitału tak odległe od mojej świadomości, bogaty i zwarty dramaturgicznie obraz Borowieckiego, przez egzystencjalny taniec rozpasania i farsy (scena w teatrze), przez historyczny autentyzm postaw i zachowań Wajda zmusił mnie do długich poszukiwań, nim tę interpretację odnalazłem. W filmie nastąpiło pewne przesilenie akcentów, pewne przerysowanie. A na koniec podsunął mi jeszcze jedno jabłko. Zastrzelony robotnik z czerwoną chustką w dłoni. Może to zatem studium rewolucji? A może po prostu jeszcze jeden zręczny artystyczny chwyt, od których aż roi się w filmie.

Dla mnie, było nie było, pozostanie to technicznie i obrazowo fascynujący tygiel, do którego na pewno trzeba zajrzeć, ale który dymi na poboczu tego, czym żyje nasz świat.

P. S. Nie mam ambicji do recenzji. Była to impresja pierwszego uderzenia. Może jeszcze się wygładzi?

tu do końca? Polak wierzący w pieniądź, Polak równie twardy, jak najbardziej wyrefinowany przemysłowiec Zachodu? Polak przed ołtarzem „złotego cielca”? Nie ma chyba bardziej skłóconego i niepotrzebnego zestawienia. A zatem film historyczny? Dokładny obraz rodzenia się kapitalizmu, wzmocniony szkieletem szczegółów i najdrobniejszych realiów? A cóż mnie, młodego, współczesnego Polaka, to obchodzi! Obchodzi mnie, jak umiera kapitalizm. Jak się rodził, uczono mnie w szkole. Chwytałem się tych sugestii, jak deski ratunku i nie mam gdzie myśli oprzeć. A może to studium człowieka? Człowieka opętanego żądzą bogacenia się, upartego i wyrodnego w działaniu. Może to polski syn wielkiego „ojca chrześcijańskiego”? O mafii w Polsce nie słyszałem. Podsuwa mi Wajda czerwone pełne jabłka, daje nadgryźć i zabiera.

I tyle na poziomie pierwszym.

Każde dzieło dużej miary we współczesnej sztuce musi być ulepione z jednego kryształu. Musi być jak kula zwarta i konstrukcyjnie spójna, a jak spojrzysz z góry — błyszczące wieloznacznością, jak karuzela gwiazd. Nie może być odwrotnie. Współczesny czytelnik, czy widz, wychowany na wielkich dziełach kulturowej tradycji, bombar-

GARMONDEM

JAKO dziennikarz nie jestem na tyle naiwny, aby z trafną nawet publikacją wiązać nadzieje szybkiego uzdrowienia eksponowanej sytuacji, sprawy etc. Szlag mnie przecież trafia — osobiście i obywatelsko — kiedy widzę, że owa sytuacja dalej „spada na twarz”, nie wywołując niemal żadnej reakcji instytucjonalnej. Oto ze ściany izby wielkiej w staromiejskiej kamienicy przy ul. Grodzkiej 3 w Lublinie, której „rewalo-

ryzację” prezentowaliśmy niedawno w „Kamieniu”, odpadło właśnie ok. 2 m kwadr. tynku z renesansowymi freskami. Wraz ze współczesnym im stropem i fryzem tworzyły one unikalną w Lublinie strukturę malarsko-architektoniczną. Ale jest i powód do optymizmu w tej historyjce: freski odpadły same, nikt ich w powietrze nie wysadził! Chociaż — czy rzeczywiście same?!

IJK

NA jedną z wolnych od pracy sobót „Życie Warszawy” (17 III br.) proponowało mieszkańcom stolicy m.in. następujące atrakcje: wycieczkę do Kazimierza i Puław, „połączoną z przejazdem wozami konnymi w okolicach Kazimierza” oraz — druga osobna atrakcja — 15-minutowe loty samolotem nad Warszawą. Okazuje się, że jesteśmy krajem wyrazistych kontrastów, którego obywatele

tak są już znużeni dobrodziejstwami cywilizacji i techniki, iż rewelację stanowi dla nich przejażdżka wozem konnym, czyli obcowanie z naturą, a z drugiej strony — na tyle są jeszcze naiwnymi dziećmi natury, łaknącymi zdobyczy cywilizacyjnych, że z rozkoszą polatają 15 minut samolotem, tym dziwnym przyrządem, cięższym od powietrza a jednakowoż latającym.

pod

ZA bilet kolejowy do Szczecina i z powrotem — drugą klasą wagonem sypialnym — zapłaciłem 732 złote. Nie jest to mało i wydaje mi się, że w zamian za tę sumę mam prawo żądać wykonania pewnych podstawowych usług ze strony PKP i WARS-u. Tymczasem w drodze z Lublina do Szczecina: wagon był nieogrzewany do Radomia, umywalka w przedziale była zatkana i nie nada-

wała się do użytku, kuchenka z powodu braku gazu była nieczynna. W drodze powrotnej: wagon był zimny przez dwie godziny jazdy, gaz w kuchence był, ale w zbiornikach nie było wody, w ubikacji ani śladu papieru toaletowego. W obie strony przez potwornie zabrudzone szyby nie dawało się odczytać nawet jasno oświetlonych nazw mijanych stacji.

JOD



Aleksander Jański

no dzięki własnej pracy pielęgniarek, jak i stanowisku lekarzy. Konflikt między pielęgniarkami a lekarzami nie zdarzają się. Zależy to w dużym stopniu od kultury obu stron. Siostra środowiskowa na Tatarach w Lublinie, Wanda Gruszczyńska, twierdzi, że ona i jej koleżanki odczuwają nieustannie pełne zainteresowanie ich pracą ze strony kierowniczkich Rejonowej Przychodni nr 11 przy ul. Odlewniczej, dr Spoz-Nejman i pozostałych lekarzy. Obserwując od pewnego czasu placówki zamkniętej i otwartej służby zdrowia, mogłem sobie wyrobić przekonanie, że odczucia te mają uzasadnienie, że dość powszechnie już teraz lekarze doceniają wartość pracy białego personelu. Czy wszyscy?

No, nie. Dość powszechnie pielęgniarki skarżą się na stosunek do nich i do ich pracy ze strony młodych lekarzy. Są oni, po otrzymaniu dyplomu, pełni euforii. To dobrze. Traktują jednak pielęgniarkę wyłącznie jako wykonawczynię ich zaleceń, a nie jak partnerkę. Dopiero po jakimś czasie uczą się od starszych kolegów i spostrzegają, że bez mądrej, doświadczonej i sumiennej pielęgniarki osiągną o wiele mniej.

W moim odczuciu każda ze stron, mimo zgodnej współpracy na co dzień, sobie przypisuje większe zasługi. To truizm, ale wciąż jeszcze nie w pełni pojmowany należycie: za chirurga nikt nie zrobi operacji, bo to jego umiejętność i powinność. Za lekarza nikt nie postawi diagnozy i nie ustali metod leczenia. Jednak i pielęgniarki nikt nie

zastąpi w dokonywaniu odpowiednich zabiegów, w możliwie częstym przebywaniu przy łóżku chorego lub w jego domu, nie zwolni z licznych obowiązków, które na niej ciąży. Znaczenie tych zadań u obu współpracujących ze sobą stron dla dobra chorego powinien odczuć wyraźniej także sam pacjent, w całej tej sprawie najważniejszy. To przecież często człowiek z zasadniczym, średnim lub wyższym wykształceniem, znający swoje uprawnienia, wiedzący, nawet o medycynie, więcej niż dawniej. Stawia więc i wyższe wymagania, najczęściej jednak tym, co najbliższe, a więc pielęgnującym. Zresztą słusznie. Jednak nawet wtedy, kiedy obiektywnie opieka jest właściwa — w momencie opuszczenia szpitala lekarz otrzymuje wielki bukiet róż, a pielęgniarka trzy żonkile, najczęściej jednak nie usłyszy nawet nie kosztującego „dziękuję”. W przychodniach i ośrodkach zdrowia nawet w Dniu Pracownika Służby Zdrowia, który minął 7 kwietnia, oprócz urzędowego, kwiatka nie uświadczysz — nawet od długoletnich pacjentów. A w nauczycielstwie... na tak, ale o tym już pisaliśmy.

Czy pielęgniarki są już tak zupełnie bez cienia i czy może pojawiły się nowe przyczyny, które sprawiają, że ranga zawodu podnosi się tak bardzo powoli? Myślę, że taką smugę cienia dostrzegłem. Nie o to mi nawet chodzi, że od czasu do czasu czytamy w prasie o niedopełnieniu obowiązków przez lekarzy i pielęgniarki, że mają one czasem sprawę w wojewódzkiej komisji kontroli zawodowej, bo to zdarza się w każdej profesji. Najbardziej liczą się bezpośrednie odczucia pacjentów. Moje rozmówczynie, porównując przeszłość i teraźniejszość, stwierdzają dość zgodnie, że obecnie młode koleżanki posiadają wyższe umiejętności i wiedzę medyczną. Część spośród nich jednak gorzej przykłada się do wykonywania obowiązków. Owszem, przyjdą, sprawnie pobiorą krew, świetnie podłączą kroplowy wlew dożylny, wypowiadając niewiele słów i odchodzą. Tymczasem właśnie wtedy choremu potrzebny jest kontakt z drugim człowiekiem, rozmowa, wsparcie słowami otuchy.

Ma to chyba głębsze podłoże i widzi je dyrektorka Medycznego Studium Zawodowego w Lublinie, Lucyna Pietrzykowska. Powiada, że do Studium przychodzą dziewczęta ukształtowane już przez dom, szkołę podstawową i liceum, mające po 19 lat. Oczywiście, że przez dwa lata można uczynić wiele, dać nie tylko wiedzę medyczną, ale i wszczepić piękne ideały oraz zasady etyki zawodowej. Jednak stawianie zbyt małych wymagań już wcześniej, cieplarniane warunki domowe, przeszkadzają. Wiele też zależy od tego, jaką absolwentki spotkają atmosferę w placówce służby

zdrowia, do której zostaną skierowane. Jeżeli będzie tam tak, jak np. w Krasnymstawie lub w klinice Akademii Medycznej w Lublinie, nawet i te mniej przykładowe się stają się zwykłe wczorajszymi pielęgniarkami. Natomiast jeśli zastaną atmosferę niewłaściwą, wtedy i te z napiętniejszymi ideałami i powołaniem nieraz ściągane są na ziemię. Zalążają się, popadają w rozgoryczenie, czasem nawet odchodzą do innego zawodu. Mają bowiem zbyt dużą wiarę w techniczną stronę leczenia, a za małe przekonanie o potrzebie bezpośredniego oddziaływania na pacjenta, wnikania w jego odczucia psychiczne. W placówkach leczniczych konieczne jest przedłużenie naszej nauki teoretycznej i zawodowej, a przede wszystkim pozytywne oddziaływanie na nasze absolwentki, pielęgnowanie w nich tych cech, jakie starałyśmy się w nich zaszcześcić.

W dzielnicy Tatarskiej obserwuję absolwentkę tego Studium, gdy wędruje od domu do domu. Szczególnie na Hutniczej i części Łęczyńskiej. Wstępuje do rodzin potrzebujących pomocy, do ludzi bezradnych lub niezadowolonych, u wielu musi kształtować dopiero podstawowe nawyki higieniczne. Dzięki FSC i władzom miasta zostali oni wyciągnięci z piwnic i suterren przy Narutowicza, z chałup dawnych Tatar i Kalinowszczyzny. Nie wszyscy potrafią żyć w nowych warunkach i do nich właśnie zaprasza się siostra środowiskowa Wanda Gruszczyńska. Nikt może nie podejrzewa, że nawet w wieżowcu można spotkać brud nie do opisania, pielęgnowane przesady, no i, rzecz oczywista, meliny pijackie oraz nierzad w obecności nieletnich, wreszcie starych ludzi zaniedbanych przez własne dzieci. Co spotka ją dziś za drzwiami, których klamki właśnie dotyka? Choć tak wątpliwa, jest silna psychicznie. Dlatego jej tam oczekują nawet ci, którym za chwilę powie gorzkie słowa. Ale nie tylko takie usłyszą. Pielęgniarki środowiskowe właśnie i te, które w szpitalu nie stronią od chorego, a w przychodni oprócz zabiegu znajdują właściwe słowo — rozświetlają smugę cienia, którą czasem wywołują ich koleżanki. I dlatego mówią:

— Mam zbyt dużo satysfakcji, abym chciała mieć jeszcze więcej. Zawód pielęgniarki zgadza się z moimi zainteresowaniami i osobowością.

— Jeśli w jedną noc dziecko siedem razy umiera i tyle razy wraz z lekarzem udaje się nam przywrócić je życiu, a po tygodniach pielęgnacji oddać je szczęśliwej matce — w jakiej innej dziedzinie mogłabym tak być pomocna ludziom?

MOWO POLSKA!

Zygmunt Kozak

W ROKU 1974, podczas odbywającego się w Lublinie centralnego turnieju XX Ogólnopolskiego Konkursu Recytatorskiego, wprowadzono do regulaminu kilka zmian. Aktualnie można np. poezję spiewać... Wszystkich recytujących dzieli się na dwie kategorie: dorosłych i młodzież (do lat 18); nie uwzględnia się tutaj istniejącej przedtem oddzielnej kategorii młodzieży akademickiej. Doświadczenia lat poprzednich dowiodły, że poziom artystyczny sztuki pięknego mówienia wśród tzw. amatorów był bezspornie niższy od poziomu reprezentowanego przez młodzież licealną. Analogicznie zresztą przedstawia się rzecz i w roku bieżącym.

Zastosowanie ostrzejszych kryteriów oceny poprawiło niewątpliwie jakość konkursowej recytacji, lecz jednocześnie przyczyniło się do wyraźnego spadku zgłoszeń (niepokojei znikomy procent debiutujących). Liczba limitowanych miejsc na eliminacje wojewódzkie pozostaje ciągle ta sama: jedno w kategorii dorosłych i jedno dla liczącej się młodzieży licealnej. Wydaje się, że owa przesadna troska o poziom artystyczny podczas eliminacji wojewódzkich i sztywna zasada niedopuszczania większej liczby osób (płon młodzieży) może okazać się w przyszłości skutecznym sposobem zabilansowania inicjatyw ludzi młodych, ambitnych i niekiedy naprawdę uzdolnionych, a co nie obojętne — rozmiłowanych w literaturze ojczystej.

Mimo zastrzeżenia kryteriów oceny w sztuce interpretacji mówionego słowa, młodzież licealna (choć nie wszystkich szkół) przystępuje do ogólnopolskiego konkursu w znacznie większej liczbie niż dorośli. Dla przykładu podaje dane statystyczne z roku bieżącego: w miejskim turnieju XXI Ogólnopolskiego Konkursu Recytatorskiego w Lublinie brało udział 17 osób dorosłych, a w pionie młodzieży — 46 chłopców i dziewcząt. Czy można więc mówić tutaj o sensownej proporcji i równorzędym traktowaniu owych grup?

„Jednym z elementów oświaty i narodowej kultury każdego kraju jest stosunek do jego języka ojczystego” — pisze prof. dr Mieczysław Karas. Przyznać trzeba, że istnieje jeszcze wiele zaniedbań w tej dziedzinie.

Nie chodzi tu o puryzm. W mówionej polszczyźnie, a często i w języku pisanym obserwuje się wiele rażących błędów, brak wrażliwości na piękno naszej mowy, niechlujstwo, wulgaryzacje, pseudonaukowa napuszonosc oraz lekceważenie podstawowych norm w zakresie fleksji i składni.

Dlatego właśnie organizowanie ogólnopolskich konkursów recytatorskich z szerokim udziałem młodzieży i nauczycieli języka polskiego, publiczne kształtowanie sfery emocjonalnej u odbiorcy, ciągłe przypomnianie jak powinno brzmieć proste, estetyczne i poprawne wyrażenie myśli — to zasadniczy sens pracy nad kulturą żywego słowa.

Publiczny występ dobrego recytatora jest już nie tylko sprawą jego indywidualnych ambicji, jest faktem o doniosłym znaczeniu społecznym. Językowa lekcja wychowania obywatelskiego. Konkurs recytatorski, zatem to nie tylko sprawa indywidualnych wrażeń i przeżyć estetycznych, lecz również szerszego oddziaływania wychowawczego.

Obserwacje tegorocznych eliminacji miejskich, trwających w Lublinie od 10 do 11 marca, nie napawają optymizmem. Niepokojącym zjawiskiem jest postępujący od kilku lat zanik zainteresowań recytacją literatury pięknej wśród młodzieży studenckiej. Wybitne osiągnięcia w postaci uzyskania pierwszego miejsca w ubiegłorocznym konkursie poezji staropolskiej przez studentkę filologii polskiej UMCS należy tutaj do chwalebnych wyjątków.

Wśród recytatorów, reprezentujących niewątpliwie wysokie osiągnięcia artystyczne, do eliminacji miejskich dopuszczono i takich których poziom był żenująco niski, a repertuar niedostosowany ani do możliwości intelektualnych, ani głosowych wykonawców.

Powtarzały się błędy: samowolna zmiana tekstu, np. „trzeba pisać białe aż do śmierci” (por. interpretację mówiącego i jego wiedzę o pisarzu, epoce); niewłaściwe akcentowanie czasowników wyrażonych w I osobie liczby pojedynczej, np. „myśle”, „widzę”, (z przybliżeniem na samogłoskę nosowa w wygłosie); niepoprawne akcentowanie takich rzeczowników, jak: „fabryka”, „muzyka” — na drugiej sylabie; niedbala wymowa zbitek spółgłoskowych w wyrazach typu: „strzelec”, „przestrzeń”; błędna wreszcie wymowa rzeczowników obcych, np. „Arbeit”.

Poważne wątpliwości budzi ponadto interpretacja. Recytacja utworu traci sens, gdy nie rozumiejący tekstu wykonawca robi to fałszywie i źle. Można by tu przytoczyć wiele niewłaściwych przykładów. W doborze repertuaru przeważały utwory z literatury współczesnej, mimo iż regulamin konkursu (paragraf 2) zakładał dowolność w tym względzie.

Wydaje się, że po wzory dobrej, niejako normatywnej polszczyzny, oprócz wybitnych pisarzy współczesnych, należy sięgać do mistrzów słowa, klasyków naszej literatury.

Uwagi swoje kończę wnioskiem: należy podnieść znaczenie środowiskowych turniejów recytatorskich, które odbywała się ostatnimi laty prawie niezauważalnie, często bez należytej oprawy artystycznej. Dla biorących udział w konkursie dobrze byłoby prowadzić specjalne seminaria z zakresu sztuki interpretacji tekstu literackiego.

Turniej żywego słowa może stać się najwspanialszą lekcją patriotyzmu i humanizmu, lekcją kultury uczuć i przeżyć estetycznych, lecz tylko wówczas, gdy organizatorzy, tj. szkoły, wyższe uczelnie, domy kultury stworzą odpowiedni klimat wokół tej niemałej sprawy.

NASZ dortmundzki nowobogactki jest oczywiście niemieckim patriotą, więc od czasu do czasu — poza ukazywaniem współczesnych osiągnięć swojego kraju — pragnie nam pokazać narodowe pamiątki. Nie więc dziwnego, że zawiózł nas za miasto, na wysokie wzgórze nad Renem. Wąską drogą, od strony parkingu, wchodzimy jeszcze wyżej i patrzymy na rzekę, która dała nazwę całemu Zagłębiu. Płynię leniwie, szczególnie na widocznym stąd zakręcie. Nie jest imponująca. Nasze oczy przyciągają setki campingowych przyczep, które właściciele postawili nad rzeką zamiast domków. Kiedy jednak spojrzeliśmy w prawo, oczom naszym ukazał się wielki pomnik, a ku jego podstawie wiodły dziesiątki stopni. Heinz czekał, jakie też wrażenie uczyni na nas ten kolos, nie mówił nam przecież przedtem, co tu zobaczymy, wiedzieliśmy tylko, że coś ekstra, z czego nasz cicerone jest niezwykle dumny. Nasze zainteresowanie i ożywienie skwitował z widocznym ukontentowaniem. Z pudełka wyjął zaraz kamerę filmową i wtedy zdrętwieliśmy nieco.

Wstępowaliśmy po szerokich schodach, coraz wyżej i wyżej. Psychologia władzy została i tu zastosowana rozmyślnie. Nie umiem powiedzieć ile może ważyć ta olbrzymia bryła. Wtedy nie wiedzieliśmy jeszcze, że już niedługo przyjdzie nam pojechać bezpośrednio nad Ren, wspinać się na szczyt Niederwaldu koło Rüdeshheim i zobaczyć coś, co przechodzi wszelkie wyobrażenia o pomnikowej gi-

wojny światowej. Kiedy nada się temu absurdalne, mu symbolowi inny sens i wymiar?

Zalowaliśmy potem z kolegą, że francuska okupacja nie przypadła także w okolicach Rüdeshheim. Francuskim chłopom nie byłoby zał wchodzić z dynamitem na szczyt nadreńskiego Niederwaldu, co dla nich wysokość 225 metrów! Nie poleciłoby się zapewne także żołnierz generała Maczka, gdyby ich szlak prowadził bardziej na południe, przez ten odcinek Renu. Otóż właśnie tam, nad całą okolicą, panuje — jak pokpiwali amerykańscy żołnierze — „niemiecka cud — dziewica”: Germania. Największy i chyba najszpetniejszy pomnik, jaki udało mi się w swoim dość długim życiu widzieć. Amerykanom był on obojętny, nakazywali burzyć tylko te, które były związane z faszyzmem. I rzeczywiście, w całych zachodnich Niemczech nie spotkaliśmy w publicznym miejscu żadnych tego rodzaju pozostałości po III Rzeszy. Ten jednak, w myśl ich kryteriów, mógł pozostać. I stoi, i straszy swoją brydotą oraz ideami, które w nim zamknięte.

Pomnika tego zaprzagnął 26-letni jeszcze książę von Bismarck, gdy w 1831 roku przebywał w Rüdeshheim na urlopie. Przewodnik wyjaśnia, że pragnienie to mógł spełnić dopiero 32 lata później, a 11 lat po zwycięstwie nad Francją i zjednoczeniu Niemiec. Tu, podobnie jak pod Dortmundem, nie od razu dostrzegamy to gigantyczne babsko. Najlepiej jest ono widoczne od strony rzeki, ba — dalej, od strony Francji. O to zresztą chodziło. Kiedy wspinaliśmy się przewidzianym szlakiem ku górze, czyli wstęgał kretel drogi, widok ten osłaniał spory las. Po tem jednak, gdy alejkami wchodził się jeszcze wyżej, ku szczytowi, nagle odsłania się Germania w całej okaza-

ZAPISANE MIĘDZY ŁABĄ A RENE (4)

Rozmyślania przy pomnikach

Tadeusz Jasiński

gantomanii. Nie przeczuwaliśmy więc przyszłych doznań, Denkmal, (pomnik) coraz bardziej ogromniał przed nami im bliżsi byliśmy jego właściwej podstawy, jawił się nam tak potężny! Przyrzeliśmy się temu co przed i nad nami, dokładniej i fascynacja została stłumiona!

Oto na samym prozdie, na wspinającym się koniu, cesarz Wilhelm I — Hohenzollern. Ten sam, który wraz z powołanym przez siebie żelaznym kanclerzem stworzył zjednoczone Niemcy pod przewodnictwem Prus. Obok, po prawej stronie, stoi sam kanclerz Bismarck, a po przeciwnej oślawiony feldmarszałek i teoretyk wojenny hrabia Helmut von Moltke. Cały ten Denkmal ma uosabiać potęgę ich dzieła — cesarstwo, Rzeszę Niemiecką. Heinz widzi nasze głupiojące gęby, ale odbiera to pozytywnie. Jest zadowolony: a więc aż tak wielkie wrażenie zrobił na nas pomnik, widoczny co najmniej w dziesięciokilometrowym promieniu! Dziwi się więc, czemu tak krepujemy się być sfilmowani pod tymi spłowymi postaciami. Nie rozumie, z jakich przyczyn wywodzi się nasz opór.

Z jedną z tych postaci spotkaliśmy się już w Hamburgu i od tamtego właśnie czasu nie przechodziliśmy obojętnie i bezkrytycznie obok zachodniemieckich pomników. Szliśmy właśnie w sierpniową niedzielę od rzecnej przystani na Labie, od Saint Pauli przez dzielnicę nosząca tę właśnie nazwę. Posuwaliśmy się w skwarze ulicą mającą po obu stronach wysokie skarpy. I wtedy z prawej strony ukazała się nam nagle szólowa postać żelaznego kanclerza. Nie potrafiliśmy ocenić, ile ten najbardziej nam nienawistny Prusak linzy sobie wysokości, ile waży. To pewnie, że wiele, ale i tak waga tego, co uczynił przeciw Polakom i polskości w byłym zaborze pruskim, żadnej współmiernej wielkości mieć nie może, jaką w nagrodę mogliby wystawić ziemiakowie. Zaraz potem, po obejrzeniu Światowej Wystawy Kwiatów, zaszliśmy z Bogusławem przed Uniwersytet Hamburgski. Tam stał nienaruszony inny Prusak, wasaty żołdak, Hermann von Wissman, „wielki niemiecki Afrykanin”. Jeden z prekursorów kolonializmu.

Potem, w Koblencku, tam, gdzie Mozela wpływa do Renu, okazało się że na nas, Polaków, czeka rarytas szczególny. Wśród wielokolorowych róż i innych kwiatów zobaczyliśmy przyklasztorny kościół. Tu, w tym grodzie, po wyprawach krzyżowych osiedlili się znani nam aż za dobrze z historii rycerze Zakonu Niemieckiego Najświętszej Marii Panny. Stąd mistrz Hermann von Salza stał pierwszym posłem do księcia Konrada Mzowieckiego. Z tego kwietnia obecnie podwórca, w mroźny dzień 1231 roku, wyruszył przez rycerską bramę rotły rycerzy — zakonników w białych płaszczach, znaczonych czarnymi krzyżami, by tworzyć na ziemiach polskich i Prusów podwalny pod przyszłe państwo krzyżackie. Ponadto w tym właśnie miejscu zjeżdżali się książęta Rzeszy, spotykali się królowie z cesarzem, tu spiskowali przeciw ówczesnej Europie. Czyżbyście, i tu zbudowano później pomnik Wilhelma I, trzeba przyznać, że znalazł się on na właściwym miejscu. Tylko, że ci niegrzeczni Francuzi w 1945 roku — no właśnie, jakże mogli taką pamiątkę pokonania Francji zniszczyć? Pozostał jednak cokolwiek i nie zmarnował się. Powiewa teraz na nim flaga państwa, symbolizująca jednoś Niemiec pojętą po chadecku, a więc w granicach sprzed rozpaczy II

łosci. Stanęliśmy sparaliżowani. Oto na rozległej płycie spory cokol dźwiga potężna kobieta, ponad o wysokości 37 metrów i wadze 32 ton. To właśnie „pomnik narodowy”, zwany przez zachodnich Niemców Germania. Jest groźna. Wprawdzie ubrano ją w skromną togę, ale przecież w prawej ręce dźwiga koronę o metrowej średnicy, a w lewej wznosi, w latwych do odczytania intencjach, potężny miecz. Cała zwrócona jest do płynącego dołem Renu, patrzy ponad nim zwycięsko, ku pokonanej przed ponad stu laty Francji.

Nie można mieć wątpliwości, że tak właśnie jest; skoro u dołu możemy odczytać nazwy takich miast, jak: Paryż, Beaumont, St. Quentin, Sedan, Le Mans, Strasburg, Orléans, Metz i Amiens. A ponadto zdanie: „Dla upamiętnienia jednomyślnego zwycięskiego powstania niemieckiego narodu i powołania na nowo Rzeszy Niemieckiej 1870—1871”. O samej Germanii upowszechniono anegdotę: Nie na płaskorzeźbie powinien być umieszczony cesarz Wilhelm I, nie tam miejsce dla generalicji jego wojsk. Na rozłożystych piersiach Germanii powinien z jednej strony obradować rząd w pełnym składzie, z drugiej sztab generalny. To by dopiero charakteryzowało istotę tego „narodowego pomnika”. Miejsca jest dosyć. Treściowym dopełnieniem jest cała stara i groźna pieśń wryta w granicie: „Wacht am Rhein” (Straż nad Renem), a szczególnie strofa: „Wołanie huczy jak młot”. Wszystko to „dla Francji, a duch tego rodzaju „patriotyzmu narodowego” jest wszechobejmujący. To nic, że twierzą o brzmieniu Germanii zwrócona jest na zachód. Trzeba pamiętać, że „niemiecka cud — dziewica” posiada u dołu nie tylko aniola z pokojową gałązką palmową, ale także i przede wszystkim aniola z mieczem zamsty i odwetu.

Czas jest nieubłagany. Minęło 105 lat od czasu zwycięstwa Prus pod Sedanem i 55 lat od czasu podważenia klęski Francuzów pod tą samą miejscowością, oraz 82 lata od chwili odsłonięcia złowrogości dla cywilizacji Europy Denkmalu na szczyście Niederwaldu. To prawda, że znaczenie odejły mu wywołane w okresie ostatnich 60 lat przez militarystkę niemiecką dwie światowe wojny. Obie skończone klęską i terytorialnym okrojeniem. Buddi teraz Germania nawet myśli nieco groźkowskie. Z drugiej strony jednak uznano za stosowne prostowanie tego rodzaju pamiątek w państwie tak silnym gospodarczo i coraz bardziej militarne. Pomniki służą wychowaniu, nie tylko upamiętnieniu. Te, które spotkaliśmy, muszą budzić refleksje nie najwesołsze, szczególnie gdy się wie, że nikt nie podejmuje trudu obiektywnej oceny postaci na nich uwiecznionych, ich roli w historii narodów Europy.

Smuć się więc musi, że nawet tzw. porządnym Niemiec znad Renu bez zażenowania, z całkowicie dobrą wiarą, nie wiedząc chyba, co czyni, pokazuje Polakowi największych polakożerców. Nie odczuwa w tym nietaktu. Ci, którzy nas prowadzili pod te pomniki, z całą pewnością nie mieli żadnych wdoczynnych intencji politycznych. Można by się zresztą z tej właśnie przyczyny cieszyć, że nie wiązali oni z tymi pomnikami jakichś szczególnie nam niemieckich treści. Jest to jednak jeszcze jeden dowód o nieprzewartości dawnej i nowej historii narodu na obszarze między Łabą a Renem. Znajomość dziejów ponadto mówi, że nigdy nie wiadomo, czy coś, co dzisiaj wydaje się nie nie znaczyć, nie nabierze znaczenia i odpowiednich poddań w najmniej spodziewanej chwili.

LUBLIN PIERWSZY PO KRAKOWIE

Wojciech Koziejowski

W TRAKCIE badań architektonicznych kamienień mieszczkańskich bloku 8 Starego Miasta w Lublinie natrafiono na bardzo interesujące fragmenty pierwotnych kamiennych opracowań otworów okiennych i drzwiowych. Znalaziono je w oskarpowaniach dostawionych po pożarze w 1670 r. do gotyckich kamienic, gdzie funkcjonowały jako materiał konstrukcyjny.

Wśród znalezisk na szczególną uwagę zasługuje ujawniony w kamienicy Rynek 6 fragment płyty podokiennej wielkiej skali, wmurowany pod trójdzielnym oknem, którego rzeźbiarskie opracowanie porządkują rytmicznie formy „talerzowe”. Sposób obróbki tego parapetu, kompozycja akcentów plastycznych, świadczą o niezwykle bogatym programie pierwotnego okna i obiektu, w którym się ono znajdowało.

W kamienicy Rynek 7, w zamurowanym półokrągłym otworze między parterem a piętrem, znaleziono kilka elementów. Jeden z nich, szczególnie interesujący, to niewątpliwie część bogatego portalu.

W kamienicach Rynek 7 i 8, także w oskarpowaniu, odkryto szereg kamiennych płyt gzymsowych z motywami kostek, uskokowych profili, ornamentu z misternie uformowanej wstęgi z przenikającym ją wałeczkiem i ornamentu z tzw. woliczek.

Określenie tylko pierwotnych funkcji tych elementów nie zadowala. Pozostaje problem charakteru stylowego, autorstwa, datowania oraz ich pierwotnej lokalizacji. Aby spełnić te warunki, trzeba sięgnąć poza Lublin. Miejsce, które mogłoby nie miało możliwości, by wydać tej klasy warsztaty, którym moglibyśmy przypisać wykonawstwo wspomnianej kamieniarki.

Analizę należałoby rozpocząć od parapetu trójdzielnego okna, gdyż ta forma wydaje się tu najstarsza, a zarazem najczęściej wnosząca do stanu wiedzy o okresie, w którym powstała w Lublinie.

Bliźniaczo podobne okna, a w nich parapety, posiada gmach Collegium Maius w Krakowie, dokładnie — okna auli, zw. lektorium wyższym albo teologów, a od końca XVIII w. salą Jagiellońską. Z tym, że identyczny parapet jest tylko w centralnym oknie fasady od ul. Św. Anny oraz w oknie od ul. Jagiellońskiej. W pozostałych formach talerza jest wieloboczna w odróżnieniu od półokrągłej lubelskiej.

W pracy prof. K. Estreichera Collegium Maius czytamy:

...Od roku 1507 pojawia się przy budowie Collegium budowniczy Marek (Marcus) Krzywonos, który w ciągu najbliższych dwóch lat kieruje budową auli, szczytu nad nią i dachu. Z rachunków z lat 1507 do 1510 wynika, że główne prace budowlane w Collegium skupiono na części wokół lektorium wyższego czyli kolo sal Jagiellońskiej — auli. Głównym budowniczym był wspomniany Marek... Budowniczy Marek otrzymuje w roku 1509 ostateczną zapłatę pół grzywny za rachunek dokonanych robót... W połowie roku 1510 Uniwersytet przyjmuje postać Maksymiliana I, w związku z czym mebluje i porządkuje aulę... A zatem bezsprzecznie do budowniczego Marka należy zabatu szczyt nad aulą... oraz pięć okien i dwa drzwi do ganku auli... Zarazem jego trzeba uznać za budowniczego auli wysokiej na dwa piętra...

Na miejscu Marka pojawia się w r. 1510 Stefan murator. Właśnie Stefan otrzymał „za kamień zamieszony — pro lepede zamieszony” — czyli za kamień gzymsowy i za wprawienie go w odrzawia lektorium wielkiego zapłatę 7 groszy.

Dalej z pracy K. Estreichera wynika, że zaistniał spór między Markiem i Stefanem, zakończony odejściem Marka, którego imię już nie widnieje w rachunkach uniwersyteckich. W dziesięć lat później pojawia się wiadomość o testamentie Marka na rzecz wdowy Elżbiety i dwóch synów.

Można wnioskować z tego, że Marek umarł około 1520 (o ile fakt spisania testamentu świadczy o rychłej śmierci autora).

Wracając do parapetów okien auli, można stwierdzić bez ryzyka, że ry-

sunek, sposób ich odkucia, skala jest zdumiewająco analogiczna w parapiecie lubelskim!

Znalezione w kamienicy Rynek 7 fragmenty nadproża i płyty gzymsowej portalu znajdują swoje analogie w kamieniarskiej wyszłej z kręgu Benedykta (zw. Sandomierzaninem).

Ryzykownie byłoby wiązać lubelskie elementy z warsztatem wznoszonym i wzbogacającym gmachy Collegium Maius, gdzie również spotykamy Benedykta. Krój portali wawelskich przypisywanych Benedyktowi posiada w stosunku do lubelskich fragmentów bardziej pogłębiony rysunek, a oprócz utartego schematu korzysta szeroko z całej gamy dodatkowych motywów zdobniczych, nie stroniąc od geometrycznych, roślinnych i figuralnych. Całość wpisanej w prostokąt kompozycji ramują rytmicznie rozstawione ciągi rytów kółek, których w naszym nadprożu nie znajdujemy.

Trzeba jednak wspomnieć, że płyty gzymsowe znalezione w kamienicy Rynek 8 posiadają typowe dla warsztatu Benedykta motywy — w tym charakterystyczny rytmiczny ornament z woliczek.

Lubelskie znalezisko, (mowa o fragmencie nadproża) można by łączyć z portalami umieszczonymi w Collegium Maius, gdzie podobne nadproża w dość skromny sposób realizują program takiego opracowania, nie nadużywając dodatkowych efektów zdobniczych zastosowanych w późniejszym czasie przez Benedykta na Wawelu w latach 1524—1529.

Dodatkowe bogactwo zdobnictwa na Wawelu może wynikać ze zdobytych wcześniej doświadczeń i różnicy w czasie ich powstania oraz z faktu „mobilizującego”, jakim był niewątpliwie królewski mecenat.

Lubelskie nadproże w swym rysunku ma dość ciekawe wzbogacenie kompozycji poprzez poprowadzenie dodatkowego łuku w kierunku gzymsu koronującego z odchyleniem na zewnątrz. Takie rozwiązanie znajduje się właśnie w Collegium Maius, z którego zachowało się też tylko nadproże. Mowa tu o portalu z ganku I p. do rezydencji dwunastej w południowo-zachodnim narożniku dziedzińca.

Płyta gzymsu koronującego lubelskiego fragmentu ma charakterystyczny motyw wstęgi i przenikającego ją wałeczka. Motyw ten wy-

stępuje u Benedykta, ale to nie przesądza chyba autorstwa, a wskazuje w tym wypadku na pokrewieństwo i pozwala ulokować i ten element w kręgu budowniczych Collegium Maius. Tutaj trzeba wspomnieć o tym, iż w 1954 r. odnaleziono w kamienicy przy ul. Grodzkiej 14 w Lublinie podobny fragment nadproża okiennego ozdobionego dwoma rzędami kostek i motywem przecięcia owiniętego wstęgą.

Olbrzymia skala okien Collegium w Krakowie, którym odpowiada proporcjami idealnie parapet lubelski, wskazuje, że pierwotnie okno lubelskie było elementem wyjątkowo reprezentacyjnego obiektu. Data wykonania pierwowzoru (1507—1510), za jaką można uznać okno w Collegium w Krakowie, czyni nieprawdopodobnym przypuszczenie, iż okno, którego fragment znaleziono w Lublinie, pochodzi z kamienicy mieszczkańskiej. Trzeba by wtedy przyznać mieszczkaństwu pierwszeństwo w przejęciu symptomów renesansu jeszcze przed fundacją kró-

lewską w postaci rozbudowy zamku lubelskiego. Wydaje się słuszniejszy pogląd wiązania tych detali z modernizacją zamku w Lublinie w pocz. XVI w., który to obiekt nie przetrwał do naszych czasów, zniszczony podczas wojen szwedzkich w XVII w. Dalej idąc można by zastanawiać się nad miejscem pochodzenia fragmentu naszego parapetu. Wydaje się, że takie okna mogły być w wymienionych w zachowanym inwentarzu z 1564 r. największych salach lubelskiego zamku: jadalni, zwanej salą królewską oraz sali kolumnowej, posiadającej 6 okien ozdobnych witrażami.

Po ruinacji zamku materiał był rozbierany przez mieszkańców i wtórnie używany z zachowaniem pierwotnej funkcji lub jako materiał konstrukcyjny.

Okno wtórnie najprawdopodobniej wykorzystano w kamienicy Rynek 6, zapewne redukując jego pierwotną skalę (o czym świadczy szczątkowe zachowanie się dolnej warstwy sgraffita na pierwotnej e-

nocno-wschodnim na olbrzymich rozmiarów kapitel kamienny utrzymany w rozrzadku jońskim (który wydaje się słusznie zinterpretował K. Majewski jako element z tegoż zamku pochodzący z renesansowej przebudowy obiektu, mający swe analogie na Wawelu).

Analogie wynikające z analizy porównawczej skłaniają do wiązania w sposób oczywisty pierwszych lat rozbudowy zamku w Lublinie z warsztatem Marka Krzywonosy, z zasygnalizowaniem wymienionego po Marku przy budowie auli Stefana, którego poznaliśmy, gdy montował gzyms nad drzwiami lektorium większego, czyli auli. (Choć K. Estreicher upatruje twórcę okien w osobie Marka).

Autorstwo nadproża i gzymsu lubelskiego można chyba też wiązać z kręgiem budowniczych Collegium Maius w latach 1507—1530, nie wykluczając, że wyszły z warsztatu, który wykonał okna, choć jest to mało prawdopodobne.

Wydaje się, że fragmenty nadproża i gzymsów są późniejsze w stosunku do parapetu. Mogły powstać już wtedy, gdy okna jednej z reprezentacyjnych sal zamku w Lublinie upodobniły się do okien w Collegium Maius w Krakowie, co skłaniałoby do przypuszczeń, o pracy niezależnych warsztatów z przyznaniem pierwszeństwa warsztatowi Marka. Natomiast fragment nadproża i gzymsów odpowiadałby temu etapowi rozbudowy zamku, który jest zasygnalizowany wizją (w 1530 r. na zamku w Lublinie) nadwornego architekta Bartłomieja Brecciego, twórcy renesansowej kaplicy Zygmuntowskiej na Wawelu.

Gdy wczytać się w formy Collegium Maius, to, jak pisze K. Estreicher, „funkcja jego jest humanistyczna, nowoczesna, przeznaczona dla życia, nauki i spotkań, dla uroczystości i rozrywki, a nie dla klasztornej kontemplacji... czy budowniczy nie był wykonawcą jakiejś woli — prądu, stylu, który w Krakowie w uniwersytecie wystąpił wcześniej, niż gdzie indziej w Polsce... dziedziniec Collegium jest wyrazem humanizmu krakowskich profesorów w XV w., a nie stylu gotyckiego XV w.”

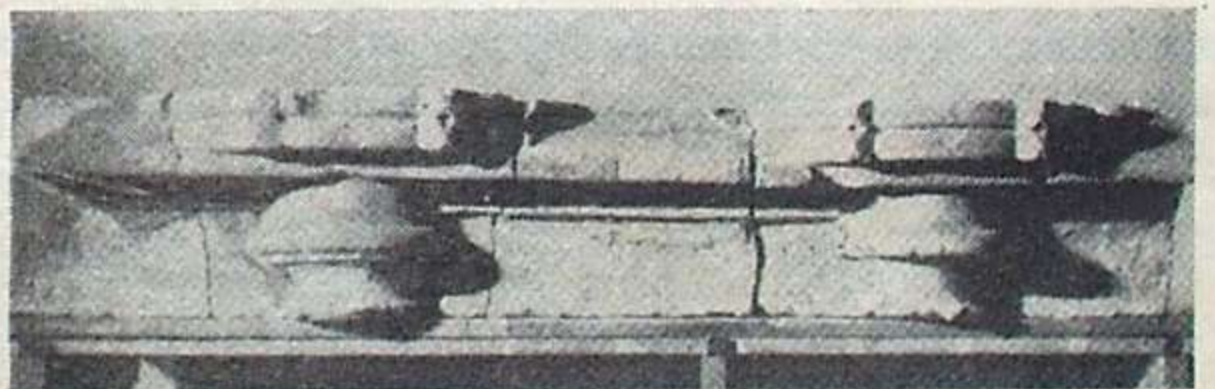
Fakt najbliższych analogii między oknami auli Collegium Maius z lat (1507—1510) a znalezionym fragmentem parapetu lubelskiego okna (zapewne z zamku) wskazuje na bardzo wczesne przeniknięcie do Lublina tych prądów, które ukształtowały się w Krakowie.

Z tej racji Lublin staje się po Krakowie pierwszym ogniwem formującego się odrodzenia w Polsce, sugerownie nazwanym przez K. Estreichera „stylem humanistycznym”, chociaż pozornie można by na podstawie tylko analizy formy wysunąć sugestie, iż mamy do czynienia z późnym gotykiem (mowa o wspólnej formie okien w Collegium i Lublinie). Jednak analiza tych impulsów i podniet, które ukształtowały Collegium Maius, upoważnia K. Estreichera do określenia tych form jako reprezentatywnych dla „stylu humanistycznego”.

O nadaniu takiego miana w odniesieniu do Collegium Maius decydowały szczególne względy i specyfika królewsko-stolecznego miasta, wcześniej czerpiącego z humanistycznego źródła. Bezpośredni import tych koncepcji — które kształtowały najwspanialszą salę Collegium — do Lublina i wyrażenie się ich tutaj w tak oczywistej formie, upoważniają do wiązania znalezisk lubelskich wspólnym mianem z pierwowzorem krakowskim, który był częścią tego, co tam określało klimat i ducha „stylu humanistycznego”.



Jedno z pięciu monumentalnych okien auli Collegium Maius w Krakowie z widocznym parapetem analogicznym do znalezionego w Lublinie. Fot. autor



Znaleziony w kamienicy Rynek 6 w Lublinie fragment parapetu okna (pochodzący zapewne z lubelskiego zamku). Fot. T. Ptasieński

stępuje u Benedykta, ale to nie przesądza chyba autorstwa, a wskazuje w tym wypadku na pokrewieństwo i pozwala ulokować i ten element w kręgu budowniczych Collegium Maius. Tutaj trzeba wspomnieć o tym, iż w 1954 r. odnaleziono w kamienicy przy ul. Grodzkiej 14 w Lublinie podobny fragment nadproża okiennego ozdobionego dwoma rzędami kostek i motywem przecięcia owiniętego wstęgą.

Olbrzymia skala okien Collegium w Krakowie, którym odpowiada proporcjami idealnie parapet lubelski, wskazuje, że pierwotnie okno lubelskie było elementem wyjątkowo reprezentacyjnego obiektu. Data wykonania pierwowzoru (1507—1510), za jaką można uznać okno w Collegium w Krakowie, czyni nieprawdopodobnym przypuszczenie, iż okno, którego fragment znaleziono w Lublinie, pochodzi z kamienicy mieszczkańskiej. Trzeba by wtedy przyznać mieszczkaństwu pierwszeństwo w przejęciu symptomów renesansu jeszcze przed fundacją kró-

lewacji pod skarżą oraz na płycie parapetu). Po pożarze w 1670 r. elementy okna wykorzystano jako materiał konstrukcyjny, wypełniający skarpy wspierającą nadwątłone mury. Podobny wydaje się być los pozostałych elementów tkwiących wyraźnie w tradycji warsztatu krakowskiego, zatrudnionego przy przebudowie zamku w Lublinie. W tej sytuacji jedynie data rozpoczęcia przebudowy może przesunąć się między rok 1510 a 1520 i przebiegałaby równoległe z rozbudową zamku na Wawelu. Otrzymujących w tym okresie pracach na zamku lubelskim może świadczyć również wiadomość o pracy malarza królewskiego Błażeja w roku 1521. Jak pisze Stefan Wojciechowski, malarz Błażej „pracował jednak nie przy ornamentacjach renesansowych w kościele zamkowym, jak mniemał M. Walicki... lecz w świątyni wybudowanych salach II piętra...”

W roku 1974 w czasie prac budowlanych natrafiono na dziedzińcu zamku w Lublinie w narożniku pół-

KIEDY felietonista bywa szczęśliwy? Wówczas, gdy trafi na temat idealny. Najlepiej, gdy wiąże się ów temat — po pierwsze, z jakąś ważną rocznicą, lub wydarzeniem; po drugie, realizuje zamówienie szefa (najczęściej zresztą, „po drugie” oznacza to samo, co „po pierwsze”...); wreszcie, zupełnie cudownie jest, gdy można nawiązać do jakiejś okrągłej daty, tzn. kończącej się zerem lub piątką...

Mam taki temat.

Inna sprawa, że znalezienie czegoś takiego przez zawodowca nie jest — na ogół — trudne. Rocznic i obchodów nie brak, zaś ludzie zreżymowani skrzętnie prowadzą archiwa; wystarczy do nich sięgnąć co pięć lat — a „okrągłe” daty powtórzą się automatycznie. Trudność więc polega głównie na odkryciu sprawy mało znanej. Ale tu z kolei wystarczy się zajmować popularyzacją nauki, w jej historii znaleźć się bowiem zawsze coś godnego uwagi i takiego przy tym, że po wyłożeniu rzeczy czytelnik pomyśli: właściwie głupia sprawa, że o tym dotychczas nie wiedziałem... Nie mówiąc już o współczesności nauki, ta bowiem zaskakuje nas co dzień; tyle tylko, że tu gorzej z kawałkami „rocznicowymi”...

Do rzeczy jednak.

Obchodzimy Międzynarodowy Rok Kobiet. Mam pewne wątpliwości, czy jest to najszczęśliwsza inicjatywa — kojarzy mi się bowiem nieodparcie ów rok z czymś w rodzaju Tygodnia Dobroci dla Zwierząt. Nie sądzę, by kobietom było to bardziej potrzebne niż... mężczyznom. Wśród obu płci zdarzają się egzemplarze bardziej i mniej udane. Są kobiety wspaniałe, które bez żadnych specjalnych Lat i Dni przejdą do historii — i są tysiące mężczyzn, którym się to nigdy nie uda.

Smutne jest może tylko to, że rozgłos i sławę zdobywają kobiety rzadziej dzięki walorom intelektu niż ciąża; ale z drugiej strony dotyczy to w znacznej mierze i płci brzydkiej; Bobby Winton czy Pele będą zawsze bardziej znani, niż Wacław Sierpiński, czy twórcą największej przygody ludzkości — Siergiej Korolow. Więc może przydałby się nam raczej Międzynarodowy Rok Popularyzacji Intelaktu?

Rok Kobiet, czy Rok Intelaktu — bohaterka dzisiejszego naszego spotkania musi znaleźć honorowe miejsce w obu. Była kobietą — podobno — bardzo piękną; była także umysłem wyjątkowym, zasługującym na porównanie z samą Marią Skłodowską. Kto wie zresztą, czy porównanie to nie wypadłoby na jej korzyść: w nauce zapisała się nie mniej wybitnie, działała zaś wcześniej nieco, więc w warunkach dla kobiet trudniejszych, w dyscyplinie zaś chyba jeszcze bardziej „męskiej” niż chemia i fizyka.

Była matematyczką, pierwszą kobietą która uzyskała tytuł profesorski. Ale nawet nie o tytuły chodzi; matematycy najbardziej sobie cenią co innego — do matematycznego panteonu wchodzi się wówczas, gdy świat nauki zacznie wiązać udowodnione przez uczonego twierdzenie z jego nazwiskiem. Są więc twierdzenia Gaussa, Weierstrassa, Łuzina, Sierpińskiego, Banacha, Pitagorasa... Są też twierdzenia Zofii Kowalewskiej.

W 1888 roku Paryska Akademia Nauk rozstrzygała konkurs na najlepszą pracę naukową, wyjątkową pracę ciał stałych, mającą jeden punkt nieruchomy. Innymi słowy — niesymetrycznego bąka, wirującej zabawki, której zachowanie ma kolosalne znaczenie dla balistyki (dlaczego wirujący pocisk trafia celniej?), dla nawigacji (żyroskop!) i dla wielu, wielu innych zjawisk i teorii naukowych. Zadanie badawcze jest przy tym skraj-

nie trudne: nie udało się go w pełni rozwiązać matematykom tej miary, co Euler, Lagrange, Poisson...

Pierwszą nagrodę w konkursie otrzymała bez dyskusji genialna praca opatrzona dziwnym nieco godłem „Mów, co wiesz; rób, co powinienes; bądź, co ma być”. Autorką okazała się 28-letnia Rosjanka, Zofia Kowalewska.

OBOK NAUKI

ZOFIA znaczy MĄDROŚĆ

Bogdan Miś

Ta fascynująca kobieta urodziła się w 1850 roku jako córka naczelnika arsenału moskiewskiego, generała-lejtnanta Wasyla Korwin-Krukowskiego, wywodzącego swój ród od królów węgierskich. Matka Zofii, Elżbieta, pochodziła z rodziny o bogatych tradycjach naukowych — jej ojciec był honorowym członkiem Akademii Nauk, zaś dziad, wybitny astronom i matematyk, członkiem rzeczywistym.

Nie ulega wątpliwości, że zarówno intelektualna atmosfera domu rodzinnego, jak i bardzo dobre warunki materialne nie stanowiły dla młodej Zofii przeszkody w rozwoju naukowym; ale w owych czasach w zafanej Rosji i tego nie było dość. Bramy uczelni były zamknięte dla kobiet; nie do pomyślenia były studia, nie mówiąc już o ewentualnej profesurze. Pozostawała nauka w domu, prywatnie — też zresztą z początku po kryjomu, bo wieł stary generał Korwin-Krukowski także nie bardzo lubił panna, co to „w boga nie wierzą i kroją żywe żaby”, jak to się wówczas mawiało o uczonych paniach. Opory generała przelamał dopiero jego sąsiad, profesor fizyki N. N. Trytow, który po długich rozmowach z Zofią rozpoznał w niej talent na miarę Pascala.

Skończywszy lat 18 Zofia stanęła przed zasadniczym pytaniem: co dalej? Jedyną drogą do samodzielności wiodła przez modne wówczas fikcyjne małżeństwo — małżonko wypadało wyjechać na studia za granicę. I tak w życiu Zofii pojawia się Włodzimierz Kowalewski, przyszły wybitny paleontolog, przyszła także — ale znacznie później — wielka miłość uczonka.

Następują studia w Heidelbergu. Nauczycielami Zofii byli Kirchhoff, Dubois-Raymond, Helmholtz. Przede wszystkim jednak słynny Karl Weierstrass z Berlina, u którego musiała jednak studiować znów prywatnie: pruski Berlin był nie mniej reakcyjny niż carska Rosja.

Weierstrass nie oszczędzał młodej adeptki matematyki. Postawił przed nią problemy skrajnie trudne. I oto w roku 1874 dwudziestoczteroletnia

zaledwie Rosjanka uzyskuje jednogłośnie, ze zwolnieniem z obrony, stopień doktora uniwersytetu w Getyndze za trzy rozprawy: „Przyczynki do teorii różniczkowych częściowych”, „O zastosowaniu pewnej klasy całek Abela trzeciego rzędu do całek eliptycznych”, oraz „Uzupełnienia i uwagi do badań Laplace'a nad kształtem pierścieni Saturna”.

Zaraz po uzyskaniu doktoratu Kowalewska powraca do Rosji. Tu jednak jej nie potrzebują. Nie uzyskuje prawa wykładania nawet na tzw. Wyższych Kursach Zeńskich...

I tu objawia się inna Zofia. Rozkwita miłość z Włodzimierzem Kowalewskim, małżeństwo staje się związkiem faktycznym. W 1878 roku przychodzi na świat córka, także Zofia. Dom Kowalewskich staje się domem otwartym — bywają tu Mendelejew, Butlerow, Czerebutow, Turgieniew, Dostojewski... Pani domu staje się znana jako... znalkomita dziennikarka i popularyzatorka nauk!

Małżeństwo Zofii kończy się tragicznie. Jej mąż, idąc za ówczesną modą, zajmuje się interesami — ale szybko bankrutuje i popadłszy w długie popadł w samobójstwo...

W 1883 roku Zofia otrzymuje zaproszenie od słynnego szwedzkiego matematyka, Mittag-Lefflera, do Sztokholmu. Tu, w lecie 1884 roku, jako pierwsza kobieta zostaje profesorem matematyki. Nie zaprzestaje jednak działalności literackiej, publikuje szereg opowiadań, artykułów popularnonaukowych, powieść „Nihilistka”, dramat... Uczestniczy w kongresach socjalistycznych, aktywnie walczy o równouprawnienie kobiet, pozostaje w ścisłych kontaktach z postępową rosyjską emigracją polityczną. Tu właśnie, w Sztokholmie, rozwiązuje wspomniane na wstępie zagadnienie ruchu niesymetrycznego bąka.

Rosyjscy matematycy wielokrotnie starali się ściągnąć Kowalewską do ojczyzny, aby tu służyła swą wiedzą studentom. Niestety — bezskutecznie, opory władz naukowych przed zatrudnieniem kobiety okazały się nie do pokonania. Nie pomogło nawet pismo generała A. Kosycza do prezydenta Akademii, w którym zacytowano m. in. słowa Napoleona, iż „każde państwo winno wyżej cenić powrót wybitnego człowieka, niż podbój bogatego miasta”.

Jedynie, co zdołali uzyskać postępowi uczeni — to wybór Zofii Kowalewskiej na członka-korespondenta Akademii. Wniosek w tej sprawie zgłosili najsympatyczniejsi: Czerebutow, Imszeniecki i Buniakowski. Został on przyjęty w roku 1889. Zofia Kowalewska była u szczytu światowej sławy.

W dwa lata później, wracając z Francji do Sztokholmu, przeziębila się i w wieku zaledwie 41 lat zmarła na zapalenie płuc. „Wybrańcy bogów umierają młodo”...

Minęło 125 lat od dnia urodzin Zofii Kowalewskiej, uczonka, dziennikarki, pięknej kobiety. Kobiety, która przelamała męski monopol w dziedzinie matematyki i zrobiła przez to dla przedstawicieli swej płci więcej, niż wiele uchwał parlamentów. Warto o niej pamiętać; zwłaszcza zaś warto pamiętać jej dumną odpowiedź, jakiej udzieliła pewnemu ważnemu urzędnikowi, który na jej prośbę o zatrudnienie powiedział: „U nas zajmowali się tym zawsze mężczyźni. Wywiązują się oni ze swych obowiązków, chwala bogu, dobrze — i dlatego nie trzeba nam żadnych nowinek”. Odpowiedź Zofii brzmiała: „Gdy Pitagoras odkrył swoje słynne twierdzenie, ofiarował bogom 100 byków. Od tej pory całe bydło boi się nowego”...

I o to chodzi, o to chodzi — jak mawiał bohater pewnego serialu telewizyjnego.

PAMIĘTNIK GLOBTROTERA (6)

Dalszy ciąg wspomnień Jana F. Są lata powojenne. Rogata dusza nie może wytrzymać w Wielkiej Brytanii...

MIJAŁY znów miesiące, a rodzice czekali na wyznaczony przez mnie dzień zaślubin. Dzień jednak taki nie nastąpił. Nie żegnając nikogo i nikomu nie mówiąc spakowałem swoje walizki i wyruszyłem w świat. Do Windsford już nigdy więcej nie wróciłem.

Z Windsford udałem się do Manchesteru, a stamtąd do Liverpoolu. Przy sobie miałem trochę zaoszczędzonych pieniędzy, które mi mogły starczyć na kilka miesięcy.

W Liverpoolu zabawilem dwa tygodnie, poszukując sposobu dostania się na jakikolwiek statek, lecz były trudności, a może ja nie wiedziałem do kogo się udać? Wyjechałem do Blackpoolu, gdzie nocą

z przystani rzecznej porwałem łódź motorową, kierując się nią do morza. Ta łódź zamierzałem udać się do Ameryki. Kiedy jednak docierałem do morza, przestraszyłem się szumu fal. Wgłęciłem do brzegu i uciekłem. Jeszcze tej samej nocy odjechałem z powrotem do Liverpoolu.

Pod koniec roku 1948 udało mi się nareszcie zamustrować na statek bandery norweskiej, na tankowiec s/s „Daghild”.

Zostałem przyjęty w charakterze „mess boya”. Moją czynnością była obsługa oficerów pokładowych i maszynowych. Tak więc codziennie nakrywałem do stołu w messie oficerskiej i codziennie ją sprzątałem. Była to praca lekka, dawała mi wiele wolnego czasu. Codziennie napawałem oczy żywiołem morskim. Początkowo przez kilka dni przechodziłem chorobę morską, później mi to przeszło i nabrałem cholernego apetytu. Kuchnia norweska była dobra. Obiady składały się z sześciu lub więcej dań.

Z Atlantyku wyjechałszy przez

Cieśninę Gibraltarską na Morze Śródziemne.

Teraz całymi dniami siedziałem na pokładzie. Słońce tu było inne, a morze spokojne. Starłem się wypatrzyć z dala brzegi lądu, lecz nie poza małymi srebrzącymi się falami nie widziałem.

Na statku cała załoga składała się z samych Norwegów. Najczęściej porozumiewałem się z nimi w języku angielskim i niemieckim.

Z Norwegiem, z którym dzieliłem jedną kabinę, zaprzyjaźniłem się i on właśnie, gdy dopłynaliśmy do Kanalu Sueskiego, zdradził mi sekret mówiąc, że na pokładzie jest jeszcze jeden Polak, jest nim trzeci oficer pokładowy.

Zastanawiało mnie, dlaczego trzeci oficer nie przyznawał się do tego, że jest Polakiem, a przecież tak chętnie pragnąłbym porozmawiać w swoim ojczystym języku. Może miał jakiś cel? Ale jaki?

Statek nasz zakotwiczył na Kanale Sueskim, gdzie długo czekaliśmy na pilota, który miał przeprowadzić

nas do Zatoki Sueskiej. W tym czasie na pokład weszło trzech Arabów, którzy stanowili załogę pilota, oraz dwóch policjantów w czarnych fezach, którzy mieli trzymać straż, nie wiadomo w jakim celu.

Naokoło naszego statku pojawiły się małe łodzie, na których znajdowały się różne towary. Czego tam nie było! Dywany, różne kindzaly o zdobionych rękojeściach, walizki i walizeczki ze skóry kamela (wielbłąda) oraz setki innych drobiazgów kultury Wschodu. Te towary można było nabyć bądź za pieniądze, szczególnie za dolary i funty, bądź też za papierosy produkcji amerykańskiej. Kupiony towar wciągało się linką na statek.

Za dwa kartony (400 szt.) papierosów „Chesterfield” nabyłem piękny ze zdobioną rękojeścią sztylet, a za dwie paczki tychże papierosów „Spanish Fly” (hiszpańska muszka) Był to — jak twierdził na statku — bardzo dobry środek pobudzający ospałość seksualną.

ROD PARAGRAFEM

Piękna fasola

ZAGADNIENIE fasoli jest skomplikowane nadzwyczaj, czasem nawet dla fachowców od skupu płodów ziemi naszej, czyli warzyw i owoców. Fasola posiada swoje odmiany, a to: bomba, perla, kolorowa jednolita i mieszana, biała mieszana, biała jednolita gruboziarnista i drobnoziarnista, piękny Jaś niskopienny i wysokopienny, czyli tyczny. Przy tym Jaś piękny tyczny zdaje się należeć do fasolowej arystokracji, aczkolwiek gdy Jaś piękny niskopienny się uda, to poniekąd jego nasiona trudno odróżnić od nasion Jasia pięknego tycznego. Różnica widoczna jest natomiast w cenie, bo Jaś tyczny droższy. Ponadto jest w ogóle różnica w cenie fasoli wolnorynkowej i kontraktowej. Za fasolę kontraktowaną w Rejonowej Spółdzielni Ogrodniczo-Warzywnej otrzymuje rolnik więcej niż za fasolę którą by sprzedał spółdzielni jako wolnorynkową. Ponadto gdy dotrzymaną terminu dostawy, należy mu się premia za każdy kilogram. Tak by z grubsza wyglądało zagadnienie fasoli.

Edward K., człowiek w sile lat męskich, posiadający żonę i troje dorosłych dzieci, nie karany, w życiu rodzinnym spokojny, nie pijący (nie nadużywający — znaczy się), bardzo oszczędny, mający własnościowe mieszkanie spółdzielcze, nigdzie nie pracował. Mamusia posiadała 5 ha i szwagier 5,5 ha. Edward K. trudnił się handlem płodami rolnymi: fasolą wszelkich gatunków, makiem, orzechami włoskimi itp. Za całą buchalterię starczyło mu trochę zapisków handlowych na strzępach gazet i papieru pakowego oraz książeczka SOP, w której — jak dobrze poszło — wpisy sięgały 200 tys. zł.

Dostarczał owoce ziemi rodzinnej straganiarzom na targu przy stacji, ale to był jeszcze detaliczny handelek. Nieco fasolki miał z uprawy rodzinnych, lecz przede wszystkim począł skupować fasolę od rolników w kilku powiatach. I z tego już się zaczęły robić tony, całe góry fasoli, którą należało dobrze zbyć, a zatem uzyskać dodatnią akumulację kapitału. Kapitał zaś wziął się stąd głównie, że Edward K. sprzedał swoje 5,5 ha szwagrowi właśnie.

W Spółdzielni Ogrodniczej, z której pracownikami skontaktował się nasz handlowiec, panowały w ogóle dość swobodne obyczaje. Na przykład — jak wynika z protokołu polustracyjnego — „kierownik sezonowego punktu skupu nieulaściwie klasyfikował jabłka, oszukiwał na wadze dostawców, odnosił się do nich wulgarnie oraz handlował jabł-

kami na własną rękę”. Ale to jest drobiazg, bo tu nie o jabłka i nie o tego kierownika chodzi, tylko o fasolę Edwarda K., magazyniera, inwentaryzatora, kierownika sekcji handlowej spółdzielni oraz o dwu rolników. W sumie bowiem aktem oskarżenia objętych zostało sześć wymienionych osób.

Cały numer polegał na tym, że Edward K. przy pomocy trzech pracowników spółdzielni oraz szeregu figurantów, z których dwu zasiadło na ławie oskarżonych, dostarczał spółdzielni pięknego Jasia niskopiennego jako wysokopiennego, przy czym był to Jaś niekontraktowany i nieterminowy, a szedł jako Jaś kontraktowany i terminowy. Bo panowie wspólnie fałszowali spółdzielcze dokumenty, wstawiając fasolę na umowy podpisane przez rolników. Takimi rolnikami stawali się pół litra bądź ofiarowało ekstra 5 kg fasoli, człowiek podpisywał umowę, Edward K. przewoził fasolę (raz nawet transportem spółdzielczym), rolnik pobierał pieniądze w banku i przekazywał Edwardowi K. Zresztą trzech panowie spółdzielcy robili podobne numerki także każdy na własną rękę, tyle że skala zagadnienia była mniejsza. W śledztwie figuranci próbowali przekonywać, iż umowy nie były fikcyjne, bo oni faktycznie uprawiali fasolę, kontraktowali i dostarczali spółdzielni. Prokurator wezwał na pomoc sąsiadów, z których każdy zeznał mniej więcej: „Zadnego Jasia on nie uprawiał, tylko buraki cukrowe, owies, sam widziałem”.

Spółka handlowa jakoś bardzo szybko przyznała się do winy, aczkolwiek Edward K. pozwolił sobie zauważyć, iż honor handlowca obliuguje go do stwierdzenia, że wprowadził to był tylko Jaś niskopienny, lecz przeciw sortowaniu, ładny i wielkością ziaren nie różniący się od Jasia wysokopiennego. Ostatecznie biegły sądowy obciążył Edwarda K. kwotą około 200 tys. zł, wyłudzonej pośrednio na szkodę odbiorców spółdzielni, choć sama spółdzielnia osiągnęła na tym obrocie... zyski. „Lewa fasola” zamyka się liczbą ponad 32 ton. Interes więc niewąski.

Jest to typowe przestępstwo rodzące się na styku sektora prywatnego z sektorem społecznym. Myślę, że sprawa nowelizacji przepisów regulujących zasady tego „stykku” domagalaby się pewnej refleksji, choć oczywiście — samą zmianą przepisów jeszcze się wszystkiego nie załatwi. Pozostaje kwestia ludzi. Pocięta, że ktoś jednak w końcu poinformował organa ścigania o fałszywej grandzie fasolowej Edwarda K.

pom

Sennik egipski

- 33 -

Rodziców widzieć zmarłych — kłopoty, smutki
Rodziców widzieć chorych — coś nieoczekiwanego cię spotka
Rodzie — przejściowe kłopoty finansowe
Rodzinki — małe radości
Rogi jelenia — zdrada ukochanych
Rogi innych zwierząt — zyski
Rolę uprawiać — życie z pożytkiem dla siebie i drugich
Rolnik — kłopoty
Ropucha skacząca — złe języki ludzkie
Ropucha w domu — szczęście
Ropuchę zabić — odniesiesz jakiś sukces
Rosa — wydatna pomoc
Rośliny pielęgnować — dobry wynik pracy
Rośliny niszczyć — bezcelowe wysiłki
Rosół jeść — choroba
Rowerem jechać — daremne wysiłki
Rower — spaść z niego — wiadomość o ślubie
Rozbierać się z sukien — choroba, lub strata
Rozbierać się z bielizny — erotyczne przeżycia
Rozbierać kogoś, dla młodych — wesele
Rozbierać kogoś, dla starych — nierozwaga
Rozmawiać — fortuna będzie sprzyjać
Rozpaczać — niespodziewana radość
Rozplatać warkocze — radość, wesele
Rozpinać coś — zawód cię spotka
Rozsadę przesadzać — zapoczątkowanie nowego życia
Rozstajne drogi — niezdecydowanie w zamiarach
Rozwód — połączysz się z kimś kogo kochasz
Rój robactwa — dużo nieprzyjemności
Rów przeskoczyć — unikniesz przykrości
Rów — wpaść weń — będą nieprzyjemności
Różga — płochy życie
Róża — szczęście w miłości, albo spełnione nadzieje
Róże białe — miłość, która nie przyniesie szczęścia
Róże zrywać — zamiary doprowadzisz do końca
Różę z kolcami — małe smutki, przeszkody
Różę wędznąć — smutek
Różę wachać — niewykorzystane sposobności
Róża w pąkach — czysta miłość
Rozdrzeć coś — zdrada
Rtęć — niestałość
Rubin — szczęśliwa miłość
Ruda — cierpliwością zdobędziesz majątek
Rudery oglądać — dowiesz się o czymś bankructwie
Rudery, chodzić po nich — stracone nadzieje
Rudy człowiek — fałszywa przyjaźń
Ruiny zwiedzać — tęsknota za przeszłością
Rumianek — tęsknota za ukochanym
Rury — korzyści materialne
Rury zepsuły — ułata zarobków
Ruszać — coś należy z twego życia usunąć
Ruszkowanie — niepewna pozycja materialna
Ruś — niepowodzenie
Rybak — przez lenistwo coś stracisz
Ryby — zysk, pieniądze
Ryby jeść — zasadzka, nieprzyjaźni ludzie
Ryby złowić — pieniądze
Ryby nieżywe — kalkulacja zawiedzie, nie będzie korzyści
Ryby zepsuły — zmartwienie
Rybki złote — miłość dla pieniędzy
Rycerz — niecodzienna przygoda
Ryż — dobre samopoczucie
Rycynus pić — radykalna zmiana w życiu
Ryż — wstrząsające wieści
Rymarz — niezawodny przyjaciel

Dalszy ciąg nastąpi

Nareszcie maszyny zagrały, policjanci opuścili statek i powoli ruszyliśmy w dalszą drogę. Na pokładzie trzech Arabów, którzy towarzyszyli pilotowi, siedziało swoim zwyczajem. Pociągali oni dymek z długiej bambusowej rurki, która ukośnie była zatwierdzona do drugiej pionowej rurki prowadzącej do słoika z wodą. Na tej pionowej rurce żarzył się węgielek, na którym jeden z Arabów położył cienki plaster masy podobnej do naszego zwykłego kitu okiennego. Był to hażysz, który ci Arabowie nazywali: „abli babil”.

Później, kiedy już byliśmy sami na Oceanie Indyjskim, kucharz załaził się przed stewardem, że w czasie, kiedy częstował policjantów na Kanale Sueskim posiłkiem, zginęło mu kilka noży i widelców.

Zacząła mnie już jednak nudzić ta praca i monotony tryb życia, wszędzie, jak tylko okiem sięgnąć, woda, woda i jeszcze raz woda. W wolnych chwilach smażyłem swoje ciało na słońcu, a wieczorami graliśmy w karty i popijaliśmy piwo. Raz, gdy byłem sam w kabinie, skuśiło mnie wypróbować hiszpańską muszkę, którą nabyłem na Kanale Sueskim. Jak się później okazało, była to czysta, zwykła woda. Wszyscy się później śmiali z tego, nawet kapitan.

Po kilkunastu dniach podróży po Morzu Arabskim dobiliśmy do portu Abadan. Tutaj po dokonaniu

formalności przez celnika i oficera emigracyjnego weszło na pokład dwóch policjantów, których zadaniem było nas pilnować. Jak się okazało, ci dwaj policjanci byli jednocześnie i dobrymi handlarzami, mieli kieszenie powypychane różnymi sygnetami, które były ozdobione „drogimi” kamieniami, oraz różnej marki zegarki.

Koledzy powiedzieli mi, ażebym czasami nie dał się nabrać na to „złoto”.

Wieczorem udałem się na miasto w poszukiwaniu dziewczyn. Wstąpiłem do jakiejś knajpy i tutaj po kilku głębszych odważnie ruszyłem w ciśnie ciemne uliczki. Długo nie musiałem chodzić: na jednej z takich uliczek zatrzymała mnie stojąca w bramie domu z zasłoniętą twarzą. Wszedłem do pokoju, w którym stał tylko tapczan z zasłoniętą przeciw moskitom. Z bocznych drzwi, a raczej wnęki — bo tam nie było drzwi — wyszła nawet zgrabna i ładna dziewczyna, cała przykryta czymś w rodzaju siatki, takiej samej siatki, jaką używa się tutaj za woalkę na twarz. Pod tą siatką odbijały się piękne jędrne piersi i cudowna kibić. Dziewczyna weszła tanecznym krokiem, na ten widok porwałem ją w ramiona, lecz ona lekko mnie odepchnęła i uśmiechając się wyciągnęła dłoń mówiąc po angielsku: „Ty musisz naprzód zapłacić, kochanie!” Bez namysłu, nawet nie pytając, śle to będzie mnie

kosztować, wyciągnęłem jednego angielskiego funta, którego położyłem na jej dłoni. Za tego funta i za kilka paczek amerykańskich papierosów bawiłem się do samego rana.

Podążając w drogę powrotną na statek, wstąpiłem na jednego.

Po pięciu dniach postoju znów znaleźliśmy się na pełnym morzu. Morze było gładkie, a słońce bezustannie prażyło. W wolnych od zajęć chwilach mój towarzysz i ja przygotowaliśmy odwet na Arabach z Kanalu Sueskiego. Chcieliśmy im udowodnić, że nas również stać na oszustwa.

Dolną część paczki papierosów odcinaliśmy żyłką, następnie po wyciągnięciu z niej papierosów w pustą paczkę nabijaliśmy papier toaletowy, a wreszcie całkiem odcięty spód wypchanej paczki umiejętnie zaklejaliśmy. Przygotowaliśmy trzy kartony takich paczek, czekając dnia przyjazdu do Port Saidu.

Pewnego dnia, krótko przed Zatoką Sueską spotkałem na pokładzie samotnie siedzącego trzeciego oficera, do którego po raz pierwszy zagałem po polsku. Długo nie odpowiadał i już miałem odejść, uważając że koleddy zrobili ze mnie balona, jednakże okazało się, iż nie. Oficer bardzo grzecznie odpowiedział mi w jak najczystszej mowie polskiej, że, owszem, jest on Polakiem, a raczej był nim i że krótko przed wyruszeniem w rejs przy-

jął obywatelstwo norweskie. Wyczułem, że mój świeżo upieczony Norweg nie ma chęci dalej ze mną rozmawiać, więc przeprościłem go, udając się do kabiny na piwo.

Nasz „szturm na Arabów” spalił się na panewce. Kanale Sueski przejechaliśmy na wolnych obrotach, a może nawet i statek się zatrzymał, lecz to musiało trwać tylko chwilę: w tym okresie tak byłem zajęty grą w pokera, że nie zdążyłem tego zauważyć.

W końcu stycznia 1949 r. statek nasz zakotwiczył w Fridericia, a następnie w Kopenhadze. Po rozładunku ropy wziął kurs na Houston w Ameryce. Początkowo nie wiedziałem, gdzie na mapie mam szukać tej miejscowości, a wstydziłem się zapytać o to swego kolegi, Norwega.

Po kilku dniach ku mej radości Norweg powiedział mi, że za niecałe trzy tygodnie dojrniemy do Ameryki, gdzie on niedaleko tego portu ma ciotkę, do której zamierza się wybrać na kilka dni.

Teraz żyłem całymi dniami oczekiwaniem zrealizowania swoich uprzednich zamiarów. O Ameryce słyszałem wiele, z dnia na dzień snulem różne ciekawe plany swoich podróży po tym kraju.

Dalszy ciąg nastąpi

Kamena str. 13

EKRAN

Reżyser Igor Talankin ukończył w Moskwie zdjęcia do dwuczęściowego filmu „Wybor celu” według powieści Danila Granina pod tym samym tytułem. Akcja toczy się wokół życia i pracy prof. Igora Kurczatowa w okresie konstruowania radzieckiej bomby atomowej. Nie jest to jednak film sensacyjny, chodzi o motywy, jakimi kierowali się zwolennicy i przeciwnicy tej broni w różnych krajach świata.

W wywiadzie dla paryskiego „Figaro” Jeanne Moreau wyznała: „Gdybym myślała tylko o karierze, byłabym od dawna mumią. Trzeba niekiedy bronić się przed presją sukcesu. (...) Zastanowił mnie fakt, że autorzy coraz rzadziej tworzą wielkie role kobiece, zarówno w kinie jak i w teatrze. Wprawdzie w Hollywood odradza się „system gwiazd”, ale na korzyść mężczyzn”.

Ze względu na malowniczość krajobrazu na Malcie kręcono już bardzo wiele filmów, ale dopiero niedawno powstał pierwszy film produkcji maltańskiej pt. „Klatka”. Jest kolorowy, nakręcony na taśmie 16-milimetrowej. Warto dodać, że pierwszy narodowy teatr na tej wyspie powstał zaledwie 11 lat temu.

Po długich wahanjach, namowach i kilku podwyżkach honorarium Elizabeth Taylor zdecydowała się zagrać starą, pomarszczoną kobietę, która traci miłość męża rozglądającego się za młodszym. Ale już w połowie filmu po kilku operacjach plastycznych pokazuje się jako kobieta bardzo piękna i atrakcyjna, chociaż z tego właśnie powodu rzeczywiście traci męża (ekranowego).

KŁOSY

Rozpoczął się dwunasty już konkurs czytelniczy „Złoty Kłosa dla twórcy, Srebrne dla Czytelników”. Plebiscyt odbędzie się w listopadzie, a teraz czytelnicy powinni zabrać się do czytania następujących pozycji, aby potem wybrać najlepszą: „Babie lato” H. Auderskiej, „Koniec świata szwoleżerów” M. Brandysa, „Dziesięć rozdziałów” J. Broszkiewicza, „Osoba” T. Holuja, „Sława i Chwała” J. Iwaszkiewicza, „Tri-

stan 46” M. Kuncewiczowej, „Erica” A. Kuśniewicza, „Solaris” S. Lema, „Diabły” T. Nowaka i „Skiepie niebieskie” J. Ozgimichalskiego. Prawda, że konkurs narodził się z inicjatywy „Dziennika Ludowego”, czytane głównie na wsi i w małych miastach. Przerósł chyba zamiary organizatorów, jednak w dalszym ciągu propagowany jest jako konkurs „dla prowincji”. Czyżby w dużych miastach czytelnictwa do- brych książek nie trzeba było już propagować?

KOBIETY

Po blisko 50 latach pracy w teatrze, w tym przez ostatnie 20 lat na scenie w Zielonej Górze przeszła na emeryturę znakomita aktorka Halina Lubicz. Halina Lubicz zaopiekowała się przez lata Michałem Kazłowem, który w czasie walk o Wrocław stracił rękę i wzrok. Nauczyła go czytać przy pomocy górnej wargi alfabetem Braille’a. Kaziów już doktoryzował się. W „Ossolineum” wydał dwie książki naukowe: „Postać niewidomego w oczach poetów” oraz „O dziele radiowym”, opublikował setki artykułów w prasie. H. Lubicz jest działaczką kultury oraz Polskiego Związku Niewidomych.

Młodziutka tancerka z Permu, Nadieżda Pawłowa, uznana została po występach w Moskwie za wzorową kontynantorkę najlepszych tradycji baletu radzieckiego. Dowodem uznania jej sztuki jest powierzenie Pawłowej ważnej roli w radziecko-amerykańskiej ekranizacji powieści Maeterlinka „Błękitny ptak”.

Już siedem byłych aktorek francuskich zalicza się do czołówek reżyserów filmowych w tym kraju. Ostatnio Liliana Dreyfus, występująca przedtem w filmach Chabrola i Godarda, otrzymała nagrodę za najlepszy film roku 1974 („Femmes au soleil”) — „Kobiety w słońcu”. Reżyserka Marguerite Duras nakręciła słodki film, w którym jako tzw. pleć słabsza występują wyłącznie mężczyźni.

Katherine Hepburn ma już 63 lat, ale wciąż występuje. Ostatnio w Nowym Jorku w sztuce dete-

ktywistycznej. Gdy pewien reporter chciał ją sfotografować z bliska, kopnęła go tak skutecznie, iż odcuono go dopiero po kilku minutach.

MĘCZYŹNI

Rooger Moore czyli „Święty” ma 46 lat, a debiutuje teraz jako James Bond. Usorawiedliwiał te decyzje powiedział: „Muszę zarabiać, bo mam troje dzieci, żonę i wspaniałą apetyt. Ale w ogóle nie lubię oglądać swoich filmów. Powiem więcej: nie wyobrażam sobie, co się w nich może podobać. Przypuszczam, że widzowie lubią po prostu aktorów, więc i mnie, skoro jestem jednym z nich”.

„Podziwiam i trochę zazdroścę Erwinowi Axerowi olimpijskiego spokoju, z jakim wykonuje swój zawód. Zwłaszcza teraz, kiedy wciąż trwa gonitwa myśl inżynierska, a młodzi i starzy bezkrytycznie maltretują teatr i literaturę, aby za wszelką cenę wycisnąć z niej wydarzenia” (Marian Siekiewicz w „Literaturze” nr 14).

Kompozytor austriacki Robert Stolz w sierpniu ukończy 95 lat, a mimo to wciąż jeszcze dyryguje koncertami. Ma w swoim dorobku ponad 50 operetek, dwa tysiące pieśni i muzykę do około 100 filmów a obecnie pracuje nad swoim pierwszym musicaliem. Onieważ — jak twierdzi — nie chce pozostać w tyle za młodymi. Zaprzyczył także, jakoby chciał się rozwieść po raz piąty.

OPINIE

Barbara Parobczak w dyskusji o ruchu amatorskim („Tygodnik Kulturalny” nr 14): „Zmniejsza się liczba zespołów amatorskich, ale nie to jest jeszcze najbardziej niepokojące. Smutny jest raczej fakt, że nie podejmują one problemów interesujących swoich uczestników, nie mają większego wpływu na rozwój umysłu, świadomości i wrażliwości swoich odbiorców. Wiele nagradzanych nieustannie recytatorów nie ma dostatecznej wiedzy o literaturze, poetyce czy kulturze mowy. Wiele znanych powszechnie zespołów teatralnych nie czyta współczesnej dramaturgii polskiej, nie rozumie tekstów, które przekazują (...). Przyczyny tkwią, moim zdaniem, m. in. w paradoksalnym podziale na kulturę związkową i rad narodowych, kulturę robotniczą i wiejską, mieszczańską i inteligentką”.

Andrzej Cieński w „Odrze” (nr 3) w eseju o Iwaszkiewiczu: „W latach ostatnich coraz większą uwagę skupiamy nie na samym

tak czy inaczej defintionowanym tekście literackim, lecz na społecznym oddźwięku wywołanym przez ten tekst. Coraz nowszymi i coraz bardziej precyzyjnymi metodami analizujemy relacje: dzieło a społeczeństwo, nazywając je badaniem dosyć różnie: badaniami czytelnictwa, życia literackiego, socjologia literatury”.

Po nieco zaskakującym stwierdzeniu, że Polska nie leży na księżycu — co jest „raczej trudne do obalenia”, Tadeusz Szymanek pisze w „Literaturze” (nr 14): „Istnieją takie zjawiska, jak teatr Hanuszkiewicza, teatr Szajny, i sam fakt, iż pod takimi nazwami utrwały się w naszej świadomości, znaczy bardzo wiele (...). Większość zaś naszych teatrów muzycznych i filharmonii to twory bezosobowe, nijakie. Czyżbyśmy mieli więcej talentów reżyserskich, zaś talenty muzyczne rodziły się na kamieniu?”

PRZESZŁOŚĆ

Jednym z symbolów Wenecji są „Rumaki Lizypa” — odłama w brazylijskiej powieści złotem czwórka rumaków, zdobliła portal Bazyliki św. Marka. Po długich badaniach stwierdzono, że wbrew poprzednim przypuszczeniom pomnikowi nie grozi zniszczenie wskutek korozji. Godzi się przypomnieć, że „Rumaki Lizypa” weneccy zrabowali w czasie wypraw krzyżowych z wyspy Chios. 600 lat później z Wenecji zrabował je Napoleon, ale do upadku cesarstwa Francja wspaniałomyślnie zwróciła je Wenecji mimo chęci słusznych protestów mieszkańców Chios.

Jesienią pod Nowy Sączem zostanie przekazany do użytku skansen etnograficzny. prezentujący praktycznie już nie istniejącą kulturę ludową Lachów i Lemków. Obejmuje on 30 obiektów z XVIII i XIX w. — zagrody gospodarskie, drewniany dwór, wiatrak, zespół śpichlerzy.

WYPOWIEDZI

Artyści kłamia i oszukują. Należy więc w sztuce zacząć wreszcie służyć prawdzie.

(Orson Welles)

Oblegowe jest powiedzenie, że mali robili wielkie rzeczy, a wielcy — małe. Mnie (ważę 112 kg) nie udało się przekroczyć formatu papieru podanłowego. Szeszupły i drobny Matejko stworzył „Bitwę pod Grunwaldem”.

(Szymon Kobylński)

Nie lubię „głośnych” śmierci, więc raczej wybieram truciznę niż pistolet. Lepiej umrzeć tajemniczo niż krwawo.

(Agatha Christie)

Ci, co rozśmieszają ludzi, cenniejsi są od tych, którzy każą im płakać.

(Charlie Chaplin)

Wprawdzie obecny rok jest Międzynarodowym Rokiem Kobiet, ale dla poezji rokiem kobiet były i będą wszystkie minione i nadchodzące lata.

(Rasul Gamzat)

Każdy nowy dzień życia naszego kraju przynosi tysiące nowych problemów, pasjonujących i niełatwych, stanowiących niewyczerpane źródło dla scenarzystów, a tymczasem, licho wie skąd, pojawiają się tu i ówdzie młode historyki, jakis „Dzień na letnisku”, czy pseudokomedie o teściowych.

(Włodzisław Tichonow)

Literatury nie można niczym zastąpić (...). Wnika ona w świat wyobraźni człowieka, świat jego myśli i emocji. Tworzy określone, niezastąpione wartości. Dlatego też nie musi się bać konkurencji żadnych innych środków wyrazu — ani tych, które już istnieją, ani tych, które mogą się zrodzić w dalekiej przyszłości.

(Stanisław Lem)

ZABYTKI

Od blisko 150 lat Akademia Królewska w Londynie posiada marmurową rzeźbę Michała Anioła — tzw. Tondę, ale dotychczas pokazywano ją tylko okazynie nielicznym osobom. Dopiero teraz, w związku z 500 rocznicą urodzin twórcy, pokazano ją publicznie. Aby uniknąć niespodzianek, umieszczono ją za kuloodporną szybą. Nie wiadomo tylko, czy chodzi o odporność na kule z rewolweru czy też z armaty. Dzieło wyceniono na 10 milionów funtów szterlingów.

Jak dotychczas Amerykanie zakupili w Europie i wywieźli do siebie wiele zabytkowych budowli. Teraz, jak donosi prasa francuska, ma się stać rzecz bez precedensu: zabytkowy klasztor z XII wieku, wywieziony przed 60 laty, ma wrócić na swoje miejsce w Pirenejach. Co się kryje za kulami tej swoistej repatriacji — dotychczas nie wiadomo.

Podczas robót konserwatorskich na Starym Mieście w Poznaniu odkopano obrzmy dzban, a w nim pięć tysięcy srebrnych monet z XIV wieku. Jak obliczył fachowiec, właściciel tych pieniędzy mógł za życia kupić połowę dzisiejszego województwa poznańskiego. Ale dewaluacja poszła tak daleko, że dziś skarb ten nie wystarczyłby na kupienie chociażby jednego PGR-u.

noty i notki

Na budowę zalewu zemborzyckiego i związanych z nim obiektów wydano dotychczas ponad 120 milionów złotych. Można tam już opałać się, kąpać, pływać, wiosłować, najęść się bigosu i popić piwem. Wszystko jednak odbywa się wciąż jeszcze w dość prymitywnych warunkach i nie wiadomo kiedy będzie tak, jak być powinno, jako że do dnia dzisiejszego — rzecz nie do wiary — cały ten rejon wypoczynkowy nie posiada planu zagospodarowania przestrzennego. I wszystko wskazuje na to, że w tym roku wciąż go jeszcze nie będzie.

Na parterze PDT Sezam siedzi panienka, która ma udzielać informacji handlowych. Kiedyś, jeszcze w zimie, ośmieliłem się zapytać, kiedy będą długie kalesony numer 6. Panienka spojrzała na mnie z dezaprobatą i mruknęła: nie wiem. No cóż, musiałem w duchu przyznać, że „nie wiem” też jest informacją.

Kilkakrotnie przecierałem oczy ze zdumienia, ale nic nie pomogło. W nr 14 „Polityki” w rubryce „W kraju” wciąż czytałem to samo: „Na przykład w Warszawie na 1000 mieszkańców przypada 31,3 ginekologów, a w woj. poznańskim już tylko 5,8”. No tak, poznaniacy zawsze byli bardziej praktyczni.

W kiosku pod podziemiemi na rogu ulic Krakowskiego Przedmieścia i Lipowej w Lublinie, należącym do PTTK, a więc organizacji od turystyki i krajoznawstwa, na progu sezonu 1975 można kupić dwa wycieczki ze starości programy imprez turystycznych, kulturalnych i sportowych w sezonie 1974, nie można zaś kupić chociażby jednej wiodówki z Lublina lub Lubelszczyzny. Jest natomiast wielka reklama o organizowaniu przez PTTK wycieczek zagranicznych.

JOD

Kamena str. 14

◆ KLUB STAREJ FOTOGRAFII ◆ KLUB STAREJ FOTOGRAFII ◆ KLUB STAREJ FOTOGRAFII ◆



Zdjęcie przedstawia: Towarzystwo Muzyczne w Lublinie. Na odwrocie m. in. podpisy: Ijola Dziewulska, Bocheńska, L. Modzelewski, Irena Mękarska, Witold Chojnowski, B. Dąbkowska, Edm. Borzgat.

Data wykonania: 1928 rok.

Autor: ?

Nadawca: Stanisława Pliszczyńska, Lublin ul. Sienna 27a.

◆ KLUB STAREJ FOTOGRAFII ◆ KLUB STAREJ FOTOGRAFII ◆ KLUB STAREJ FOTOGRAFII ◆

KLUB STAREJ FOTOGRAFII ◆ KLUB STAREJ FOTOGRAFII ◆ KLUB STAREJ FOTOGRAFII ◆ KLUB STAREJ FOTOGRAFII ◆

KLUB STAREJ FOTOGRAFII ◆ KLUB STAREJ FOTOGRAFII ◆ KLUB STAREJ FOTOGRAFII ◆ KLUB STAREJ FOTOGRAFII ◆

Odpowiedzi redakcji

S. W. Bydgoszcz. Sztura powinna być nie tylko celna, ale również dowcipna. Kiedy Pan pisze, że wygodne małżeństwo „Dzieci sobie nie życzy... Woli samotność i pleska na smyczy”, nie może mi temu spostrzeżeniu odmówić racji, ale do coup de foudre — tak mówią Francuzi — czyli do zakochania oryginalności jeszcze daleko. Przysiał Pan nam już lepsze rzeczy.

B. G. Klece. Z pańskiego zainteresowania poezją (które trwa niecały rok, jak się dowiaduje) może wynikać jakiś godzien uwagi rezultat, gdyż nie to pomieszczenie postaw. Pierwsza — to uważnie i z namysłem refleksyjną, druga — emocjonalna, ale ta emocjonalność nalegająca rzędu która przynosi hulaśliwie oświecenie banalem. Proponuje trochę więcej zastanowienia. Niech Pan weźmie pod uwagę, że inni piszący wiersze również pewnie prawdy o życiu zauważali, a jeśli ich nie wyrażają, jest w tym jakiś powód. Jak? Ano ten, że owe prawdy są łatwo odrzucalne, dzięki czemu powszechnie znane, dzięki czemu banalne. Z wierszami od nich tak najdalej. Przy okazji doradzam trochę więcej kontaktu z ortografią.

J. K. Lublin. Rozbrajający jest donisek na pańskim liście: „Za pozostawione błędy nie odpowiadamy”. Chce Pan powiedzieć, że odpowiedzialność ponosi jakiś korektor pańskich tekstów? W takim razie nie wiem na czym polega rola tej osoby. Bo błędy są, ale nie tam, dokąd może sięgnąć adiustacja. Przede wszystkim dajcie się zauważyć pewnego rodzaju naiwności. O ile w liście nie jest ona zjawiskiem jeszcze ujemnym, bo świadczyć może o czwinieniu prób na własną rękę i braku obciążenia mechanizmem przewidywalnych wzorcami, o tyle w satyrze jest gorzej. Ta satyra jest łatwa, powierzchowna, nie demaskuje w pełni. Ale nie chciałbym tymi uwagami przesadzać sprawę. To są dopiero początki. Wiele może lepiej odstukać w niemożliwym drzewo.

C. Izabela. Nie podał Pan imienia, stąd w krytonimie tylko jedna litera. Dziękuję za wyrazy zrozumienia dla mojej czynności korektorskiej młodych autorów, z których pewna (czy minimalna) część podziurawia mnie o intencje złościwe. Ze postępuje tak, jakby cieszył mnie zły wiersz, a smucił dobrzy. Jeszcze jedna na temat poezji. Ale do rzeczy. Cykl „Ziemia” jest przykładem tej właśnie powierzchownej obserwacji. Łatwiej opisać, która młoda młoda poezja należy do bezkompromisowo, bo świadczy o zerpaniu ze złej tradycji. Proszę samemu się zastanowić: ile to już razy spotkało się zwroty takie jak „ziemia ojcowi”, „ziemia śpiewa”, to porównania drzew do włosów, które częściej wiatr. To nie jest powiędziane, to jest powiędziane. Doradzam zmienić tematycznie, bo właśnie w opisach przyrody wkracza pan w stępny stylizowany rodem z jakiegoś znanego na strychu kalendź. I odwołac się do czarna niewdzięczności? Niestety w tych sprawach orzeczniczo jest niedźwiedzia przysługą.

A. C. Lublin. Rzeczywiście nie potrzebna opanować wszystkich konwencjonalnych czy tradycyjnych umiejętności, by uprawiać sztukę współczesną. Gdybyśmy żądali tego od każdego artysty, nie byłoby nowatorów. Każdy z nich by doszedł do swego wyrazu, utknąłby w jakiejś sztuce egipskiej, greckiej, średnio-wiecznej, renesansowej, barokowej, czy nie przyszło Panu na myśl, że pochopte odrzucając kanon już znajdując się w dorobku kultury ułatwiamy sobie sposób postępowania? Na terenie sztuki współczesnej mówi się o latwości mistyfikacji, zwickłego hochsztaplerstwa, bujdy. Dla dokonania wartościowych i kompromitujące zaszczytów. Dlatego warto czasem nawrócić do przeszłości. Nie na zasadzie modu „retro”, która jest w grupie rzeczy nubiłłwem przesłanym starych albumów. Nie na zasadzie żartobliwego unodobania do rysuneków przedstawiających panów z wąsami w ostróżkami fiksturnem. Warto — na zasadzie — poszukiwania problemów. Niektórzy twierdzą, że postępu w sztuce nie ma. Ze stonied oświecenia nie zależy od metryki drzew. Nie sam to entuzjastyczny aforyzm. Chyba się trochę zadamy.

C. F. Należów. Byłbym wiele zadowolony, gdyby całość pańskich utworów dojechała miary początku. Zaczyna się dobrze. Orwinalność, trafność, swobodność. Ale im dalej w las, tym więcej niedobrych drzew. Nie utrzymał Pan tonu. W czym przyczyna? W pośpiechu? A więc tych kilkadziesiąt stron napisał Pan jednym ciąsem? Trudno mi się domyślać. W każdym razie — widoczny brak dyscypliny.

Z. Z. Bychawa. Obrazowanie w tych utworach odebrałem jako interesujące, ale wiele do życzenia pozostawia — nawiąże to metaforycznie, ale wemy o co chodzi — rysunek słowa. Pan za mało precyzyjnie nie namawiam do tych mało czelatorskich do tych drobniarstwowych złości i muskań z których wynika sama arcywiedna poprawność, ale trochę zmniejsza w te żywiołowość trzeba wprowadzić. Na ten postulat przypuszczalnie nałgać się Pan sam ponieważ stawianie sobie coraz wyższych wymagań jest naturalną oznaką rozwoju, a ten — niech będzie i ryzyko — można Panu wyróżnić.

Szyfrogram literacki (nr 8)

Po odgadnięciu wyrazów pomocniczych należy przzenieść do diagramu na miejsce liczb odpowiadające im litery i odczytać wiersz wybitnego i wszechstronnego twórcy z okresu renesansu którego imię dałoby początkowe litery pierwszych 8 wyrazów pomocniczych. Poedyńcąc czarne kratki w diagramie oznaczała koniec słowa, a podwójnie — koniec wiersza.

Wyrazy pomocnicze:
 15. 23. 27. 32. 47. 17. 5. 33. 137 — krzew z orzechami.
 3. 119. 9. 14. 58. 43. 25 — państwo południowo-amerykańskie.
 26. 53. 116. 32. 8. 86. 16 — miasto pow. w woj. olsztyńskim.
 12. 79. 39. 44. 37. 50. 21 — stolica Cypru.
 11. 128. 36. 46. 24. 55. 60 — wzgórze i muzeum zespół ruin w Atenach.
 7. 41. 10. 59. 52. 29. 38. 65 — pobicie, uderzenie kogos.
 4. 87. 6. 100. 71. 40. 2. 35 — zamieszkały razem.
 34. 88. 20. 30. 139. 64. 43. 73. 108. 19 — głowonóg.
 122. 28. 18. 61. 110. 68. 107. 81 — uzdrowisko w woj. lubelskim.
 54. 94. 138 — nasyp ziemny.
 95. 22. 87. 90 — wyniosłość na linii grzbietu u niektórych ssaków.
 131. 72. 111. 56. 70 — wał jądowity.
 74. 112. 109. 89 — mać córki.
 77. 114. 99 — wada dręki.
 67. 43. 104. 136. 85 — deszczowa pogoda.
 181. 134. 83. 97. 75 — miejsce związania.
 98. 66. 1. 76 — roślina na niej trawa.

1	2	3	4	5	6	7	8	9	10	11	12	13	14	15
16	17	18	19	20	21	22	23	24	25	26	27	28	29	30
31	32	33	34	35	36	37	38	39	40	41	42	43	44	45
46	47	48	49	50	51	52	53	54	55	56	57	58	59	60
61	62	63	64	65	66	67	68	69	70	71	72	73	74	75
76	77	78	79	80	81	82	83	84	85	86	87	88	89	90
91	92	93	94	95	96	97	98	99	100	101	102	103	104	105
106	107	108	109	110	111	112	113	114	115	116	117	118	119	120
121	122	123	124	125	126	127	128	129	130	131	132	133	134	135
136	137	138	139											

185. 182. 128. 80 — cieni na głowie.
 115. 123. 129. 117 — czyści makę.
 92. 123. 112. 83. 127 — posłanie.
 69. 49. 84. 91 — dzielnica Lublina.
 138. 82. 126. 130. 106 — pies myśliwski.
 68. 31. 62. 96. 51. 121. 78. 63 — przedmiot przynajmniej coś.
 132. 124. 119. 125. 102 — kilka znaczków pocztowych na jeden temat.
 Rozwiązanie można nadsyłać w ciągu 10 dni od daty ukazania się numeru pod adresem redakcji (skr. pocz. 131 20-950 Lublin). Wśród autorów prawidłowych rozwiązań rozlosujemy bony książkowe.
 Rozwiązanie krzyżówki z Nr 8. Pozłomo: trapez, kopia, upiór, Olbromski, zapas, ulice, katalizm, epoka, tama, Stentor.

emisja, Zbaraż, Katerla, duma, paser, Katarzyna, minia, wylom, Sulkowski, Antek, krzak, szatan.
 Płonowo: Ludzie bezdomni, ciepło, troska, parlament, opium, Izbaica, Ustł, Stefan Zeromski, zorza, kasta, trasa, sakwa, taresówka, monter, pawian, salata, kasza, Tula.

Za prawidłowe rozwiązanie Krzyżówki Nr 6, cztery bony książkowe po 40 zł każdy, wylosowali: Janina Nowacka, 22-209 Krasnystaw, ul. Krakowskie Przedmieście 9; Ewa Denisuk, 84-200 Lębork, ul. Al. Wolności 34 m. 2; Bohdan Biskiewicz, 50-218 Wrocław, ul. Pomorska 8/36; Wacław Ujjasz, 28-612 Lublin, Al. PKWN nr 3 m. 60.

listy do kamery

„BISTRO” ITP

Wojewódzkie Przedsiębiorstwo Przemysłu Gastronomicznego w Lublinie w odpowiedzi na zamieszczone w „Kamieniu” felietony pt. „Bistro” (nr 1), „Takie sobie jedzonko” (nr 2), „Pomaleńku, pomaleńku” (nr 3), informuje:

W 1973 roku decyzją Urzędu Miejskiego w Lublinie wydana na wniosek KM MO wycofana została sprzedaż napojów alkoholowych z restauracji „Nadbystrzycka”. Zakaz, mający na celu doprowadzenie do zmiany charakteru zakładu i poprawę świadczonego usług, nie przyniósł spodziewanych rezultatów. Nie pomogła również zmiana prawie całego personelu. Stali bywalcy restauracji „Nadbystrzycka” byli wręcz zadowoleni z wprowadzonego zakazu, bowiem przynosząc ze sobą alkohol zakupiony w pobliskich sklepach, oszczędzali na marży. Wysiłki mające na celu ukroczenie tego rodzaju praktyk oraz próby zatrzymywania przez kelnerki osobników przynoszących alkohol kończyły się zazwyczaj niepowodzeniem.

Jednocześnie w tym samym okresie otrzymaliśmy z MSSE w Lublinie szereg montażów, zobowiązujących nas do ograniczenia produkcji w zakładzie z uwagi na szczupłość pomieszczeń zaplecza i brak możliwości ich poszerzenia.

Ograniczenie produkcji i wprowadzenie zakazu sprzedaży alkoholu spowodowało, że zakład przynoszący przedsiębiorstwu i miastu dość pokaźne zyski stał się nierentowny — bez wyraźnej zmiany dotychczasowego charakteru.

W tej sytuacji, gdy zgodnie z Zarządzeniem Nr 1/Pq ministra Handlu Wewnętrzny i Usług przystąpiono do weryfikacji sieci gastronomicznej, padł projekt zorganizowania w miejsce dotychczasowej restauracji baru typu bistro. Było to zgodne z wydanymi wcześniej zaleceniami UM i MSSE, a jednocześnie zmniejszało koszty utrzymania zakładu i likwidowało dotychczasowe straty.

Wprowadzając w życie zatwierdzone przez władze miasta wnioski przeprowadziliśmy

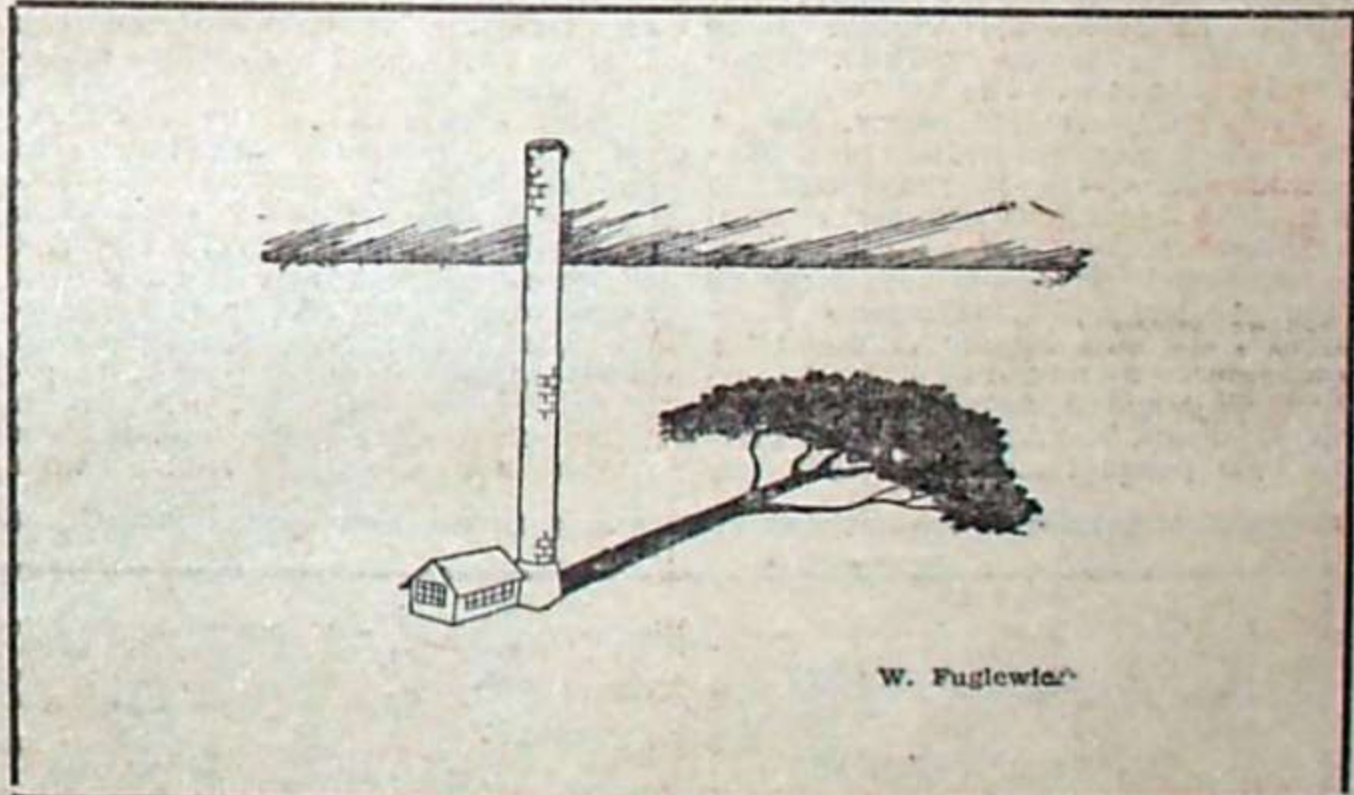
gruntowny remont zakładu, dokonując koniecznych i możliwych do realizacji zmian funkcjonalnych, a ponadto: zakupiliśmy nowe meble, wprowadziliśmy nową i jednolitą zastawę stołową, wyposażyliśmy personel w jednolite i estetyczne stroje służbowe, ustaliliśmy nowe minimum asortymentowe wprowadzając ograniczoną, ale atrakcyjną produkcję.
 Komisja złożona z przedstawicieli Wydziału Handlu Przemysłu i Usług UM w Lublinie oraz pracowników przedsiębiorstwa na podstawie przeprowadzonej wizji lokalnej i zgodnie z cytowanym zarządzeniem ustaliła dla zakładu II kategorię.
 Zakład po modernizacji otrzymał nazwę bar bistro „Malańki”, ponieważ nawet nazwą nie chcieliśmy nawiązywać do niechlubnych tradycji dawnej restauracji.
 Całkowita zmiana charakteru zakładu (przeprowadzona zgodnie z Biuletynem MHIU nr 8 a/33) doprowadziła do tego, że stali bywalcy, o których powyżej mowa, zrezygnowali z usług tego baru. Obecnie — pomimo że obroty nie osiągnęły jeszcze tej wysokości co przed wprowadzeniem ograniczenia sprzedaży napojów alkoholowych — zakład zaczyna cieszyć się coraz większym powodzeniem u konsumentów i po zrehabilitowaniu postulatów dotyczących obniżenia cen wyrobów kulinarnych nie natujemy negatywnych uwag na temat jego działalności.

W świetle powyższego niezrozumiałe są dla nas intencje autora cyklu felietonów krytykujących inwencje osób, którzy chcieli, żeby w miejsce dotychczasowej spełniali powstał zakład nie przynoszący strat naszemu miastu. Próby zaś porównywania baru „Malańskiego” do tego typu lokali w

Paryżu traktujemy jako dżorne nieporozumienie, bądź też jako świadectwo całkowitego braku znajomości problemów gastronomicznych przez autora, którego zachęcał zewnętrzny bliztr zakładu gastronomicznego w krajach zachodnich.

Reasumując chcemy podkreślić, że pomimo porzucenia obiektów z dotychczasowych uwag w dalszym ciągu czynić będziemy wszystko, aby w miarę posiadanych warunków przekształcać zakłady nie cieszące się dotychczas pozytywną opinią wśród konsumentów, zdając sobie przy tym sprawę, że jak każda nowość — i przyszłe nasze posunięcia spotkać się mogą z krytycznymi uwagami, oby konstruktywnymi.

OD REDAKCJI: Dziękujemy za odpowiedź. Przy okazji informujemy, że nie potrzeba jechać do Paryża, aby przekonać się, jak powinno wyglądać przetrwałe bistro. Wstarczy wizyta w Słupsku czy w lokalach podobnego typu w Poznaniu. A na koniec ośmielamy się przypomnieć, że sprawozdanie cen w „Malańki” do ludzikiego poziomu nastąpiło przypadkowo (7) po wiadomych publikacjach. Z pewnym zakłopotaniem wskazujemy też na ubikację bistra: odpowiednie wyposażenie wprowadzono tam również po „złotych uwagach” felietonisty. Jeśli chodzi o „zewnętrzny bliztr” zakładów gastronomicznych w krajach zachodnich”, jak to pięknie sformułował ob. dyrektor, to stwierdzamy, że formalnie rzecz biorąc zdanie jest bezbłędne. Aczkolwiek trochę żmieszne... A swola droga dziwi nas, że wzmiankował trzy felietony ob. dyrektor utosunkowuje się tylko do pierwszego z nich Choć dobre i to.



Pismo Lubelskiego Oddziału Związku Literatów Polskich. Założyciele: Kazimierz Andrzej Jaworski i Zenon Waśniewski.

Redaguje zespół: Maria Becheryc-Rudnicka Jerzy Dostatni (sekretarz redakcji) Marek Adam Jaworski (redaktor naczelny) Zygmunta Mańkowski Zygmunt Mikulski (kierownik działu literackiego) — członkowie Kolegium Redakcyjnego, oraz Mirosław Derecki Tadeusz Jasinski Ireneusz I Kamiński (kierownik działu publicystycznego) i Maciej Podgórski (redaktor techniczny) — Irene Komosa korektor — Ewa Dybek.

Cena prenumeraty krajowej rocznie 78 zł, półrocznie 39 zł, kwartalnie 19,50 zł. Prenumeraty przyjmowane są do dnia 10 każdego miesiąca poprzedzającego okres prenumeraty. Prenumeratę na kraj dla czytelników indywidualnych przysługują urzędy pocztowe oraz listonosze. Wzrostki instytucje państwowe i społeczne w miastach zamawiają prenumeratę wyłącznie za pośrednictwem oddziałów delegatur RSW „Prasa — Książka — Ruch”. Pozostałe mające siedzibę na wsi lub w innych miejscowościach, w których nie ma oddziałów ani delegatur zamawiają prenumeratę za pośrednictwem urzędów pocztowych.

Prenumeratę na zagranicę przysługują: RSW „Prasa — Książka — Ruch” — Biuro Kolportażu Wydawnictwa Zagranicznych, Wrocław 23, 00-340 Warszawa, konto PKO 1-4-190024. Cena prenumeraty dla zagranicy jest wyższa od prenumeraty krajowej o 40%.

Redakcja nie zwraca materiałów nie zamówionych i zastrzega sobie skróty. Kierownik działu literackiego przyjmuje interesantów w poniedziałki i piątki w godz. 14-18.

Wydawca: RSW Prasa — Książka — Ruch Lubelskie Wydawnictwo Prasowe Lublin, ul. Jasna 6. Druk: Lubelskie Zakłady Graficzne im. PKWN, Unicka 4. Zam. 872. 3.IV.75. E-4.

Numer łamali: Mieczysław Psujek, drukował zespół pod kier. Eugeniusza Kuredy

Adres redakcji: 20-029 Lublin, ul. Skłodowskiej 2/1 Nr indeksu 30400/30331

Telefony: sekretariat i naczelny redaktor 255-93, sekretarz redakcji i dział publicystyki 275-35.

Korespondencje zwykłe prosimy kierować pod adresem: 20-950 Lublin I, skrytka pocztowa 131; polecane i ekspresowe — pod adresem redakcji.

Władysław Katarzyński

ROZOWE MYSLI

Jego argumenty są nie do odparcia. Nikt nie potrafi ich zrozumieć.

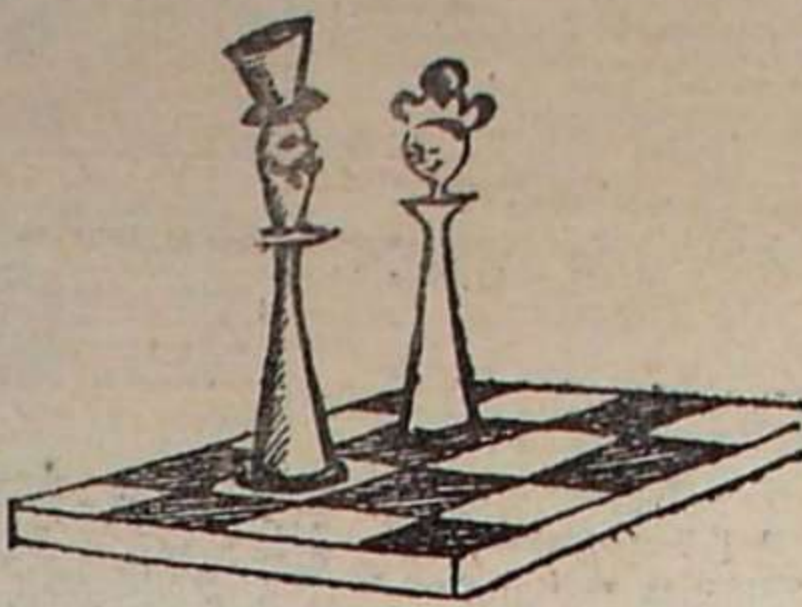
*

Byłby został Diogenesem, gdyby nie odkrył w beczce wina.

*

Nie znalazł sobie równych. Wszyscy byli lepsi.

HUMOR RADZIECKI



Rys. W. Tamajew



— Za moje zadania domowe dziadek z babcia znów dwójki dostali! —
rys. L. Morozowa i A. Orłowa

STEFAN Kozicki (obecnie z Warszawy, dawniej ze Szczepieszyna, a więc niejako rodak) pisuje na łamach tygodnika „Argumenty” felietony pod wspólnym tytułem „Coś do słuchu”. Felieton zamieszczony w numerze z dnia 30 marca 1975 r. („Wołanie o węgiel”) poświęcił Lubelszczyźnie i na jej tle — „Kamień”.

Kozicki jest szczery, nie ukrywa, że wiadomości na temat budowy Lubelskiego Zagłębia Węglowego czerpie z gazet (co się stało w wszędobylskim reporterem?). Jego (?) zdaniem Lublinowi udało się zachować tradycyjny, spokojny, prowincjonalny charakter, niezmienny od wielu lat m.in. dlatego może, że jak dawniej tak i dziś główne zaplecze stolicy województwa stanowi żyto i buraki. Po tym stwierdzeniu felietonista zaczyna zastanawiać się, jak zmieni się „Kamień” pod wpływem węgla. Cytuje: *Może będzie miała 18 albo 20 stron (dziś ma ich 12). Może przejdzie na kolor i rotograwiurę jak śląska „Panorama”? Może zacznie ubiegać się o współpracę z nią najtęższe w kraju pióra? Wszystko jest możliwe... Nie jestem futurologiem, trudno mi więc konkretnie odpowiedzieć Kozickiemu. Pragnę jednak zauważyć, że w matematyce nie czuje się on zbyt pewnie, skoro nie potrafi doliczyć do szesnastu. Tyle bowiem stron od półtora roku liczy „Kamień”. Ba — Kozicki w ogóle nie wie, czym właściwie jest nasze pismo, gdyż w innym miejscu nazywa je „literacko-kulturalnym”. A przecież w każdym numerze na pierwszej stronie może przeczytać: „dwutygodnik społeczno-kulturalny”.*

Dwie gafy więc już mamy. Ale na tym nie koniec. Kozicki zarzuca „Kamień”, że dręczą ją prowincjonalne kompleksy przeradzające się czasami w ataki agresji (atak agresji — masło maślane). Na dowód tego sięga do felietonu Ijona „Minuta myślenia” zamieszczonego na łamach „Kamienia” w dniu 15 grudnia 1974 roku. Oszalałająca jest ta szybkość reakcji współpracownika „Argumentów”! Trzeba było ponad trzech miesięcy(!), aby

zareagował. Felietonista! A przecież „Argumenty” nie są kwartalnikami!

Oczywiście rok 1974 to nie czasy biblijne, może więc niepotrzebnie czepiam się drobiazów. Trudno jednak przejść do porządku dziennego, kiedy Kozicki przeinacza myśli Ijona i fałszuje cytaty. Trudno, bowiem Kozicki ma przecież duże doświadczenie dziennikarskie.

Kozicki pisze, że „Kamień” dla „Tygodnika Kulturalnego” nie ma żadnych okoliczności łagodzących. Prawie każde zdanie (to d.c. cytatu

magneto fonowych, tygodniach przeprowadzonych rozmów. Sądziłem, że nie doceniłem tu pewnych momentów, skoro potrzebne się okazały tak wnikliwe i absorbujące penetracje. Tymczasem co? Benedyktyńska pracowitość obraca się przeciw autorowi. Bo cóż mi to za tysiąc stron notatek, skoro w efekcie dają elaborat, którego prawie każde zdanie nic tylko wrzucić do kosza! Przecież to stwierdzają — kto? — sami uczestnicy wyprawy. W dodatku jedyni, a przynajmniej najważniejsi z tych, którzy informacji na owe tysiąc stron udzielili.

konany, że nie potrafili ich napisać ktoś, kto uchodzi za trzeciorzędnego pisarza w poczytnym kraju nad Wisłą”. Natomiast Kozicki tak „przytacza” to zdanie (bo takich „Psów wojny”) potrafi napisać byle trzeciorzędny pisarz w poczytnym kraju nad Wisłą. I po tym przeinaczeniu komentarz: *Może potrafi, ale nie napisał. Kozicki strzela do dzika wypchanego i uwiązane go na sznurku.*

I sprawa zasadnicza. Felietonista „Argumentów” niedwuznacznie odmawia felietoniście prowincjonalnego pisma prawa do krytyki (nazywa ją „atakami agresji”) warszawskich tygodników. Czy „ataki agresji” (?) są prawnie zastrzeżone dla felietonistów „prasy centralnej”?

Swoją felieton Kozicki nazwał „Wołanie o węgiel”. Rzeczywiście, ta biedna Lubelszczyzna nie obyła się bez jego zbawiennych rad. Są zapewne tak cenne, jak sam węgiel. A o ileż łatwiej osiągalne! Z jaką szczodrością udzielane! I pod adresem chłopów i techników i młodego pokolenia. I wreszcie nas — pracowników redakcji. Wprawdzie wyobrażamy sobie, jak bardzo Szanowny Autor musiał się schylać, przemawiając do dziennikarzy pracujących (podkreśla to) w oficynie, w lokalu przerobionym na redakcyjne potrzeby z trzypokojowego mieszkania, ale mamy zaszczyt zakomunikować, że już przenieśliśmy się do lokalu pięcioizbowego. Więc może zasłużymy na większą łaskawość? (A propos: jaki lokal zajmują „Argumenty”?)

Ze swej strony nie utożsamiam ataku Kozickiego na „Kamień” z atakiem „Argumentów” na „Kamień”. Felietonista ma swoje prawa. Poza jednym: fałszowaniem cytatów. I dlatego trzeba mu powiedzieć „coś do słuchu”.

MAJ

P. S. A o samym węglu „Kamień” pisze niemal w każdym numerze. Red. Kozicki może więc i dzięki niej uzupełnić swoją gazetową wiedzę na ten temat.

Coś do słuchu redaktorze Kozicki!

z „Kamienia” odnoszącego się do „tygodnikowych” publikacji) nic, tylko wrzucić do kosza.

Czytelnik może odnieść wrażenie, że Ijon pragnie wrzucić do kosza wszystkie publikacje „Tygodnika Kulturalnego”. A przecież dokładna lektura jego felietonu z 15 grudnia wyraźnie wskazuje, iż autorowi chodzi o konkretny cykl materiałów na temat tragicznej wyprawy himalajskiej.

Przypominam słowa Ijona: *Wyprawa poszła, zginęło dwóch ludzi. Był komunikat, były żałobne noty. Potrzebny jeszcze reportaż? Powtarzam: reportaż? Zmarłych się nie wskrzesi, a rewelacje dotyczące meteorologii, stanu kasy i wyposażenia to coś jakby: „Powiadasz, że ciotka zmarła w szpitalu, ale nie nie wiadomo, w jakiego koloru piżamie”. Ale niech. Tym bardziej, że autor zapewniał o tysiącu stron notatek, stercie taśm*

Czy Kozicki rzeczywiście nie zrozumiał Ijona? Jeśli zaś rozumiał, to po co, w czym interesie (autora himalajskich reportaży?) wypacza tendencje felietonisty?

Ale idźmy dalej. Kozicki pisze: *„Literatura” znowu (i tu zaczyna się rzechomy cytaty z Ijona:) drukuje różne hopsztosy(...) rodem z najlepszych tradycji brukowców lat jeszcze dwudziestych. U Ijona dokładnie to zdanie brzmi tak: *Zadziwiająco, jak łatwo to pismo o mylącym zresztą tytule podchwytuje różne hopsztosy rodem z najlepszych brukowców lat jeszcze dwudziestych. Między czasownikami drukuje a podchwytuje jest duża różnica. Czyżby Kozicki jej nie dostrzegł?**

Kolejny przekręcony cytat z Ijona dotyczy „Psów wojny” Forsyta, drukowanych przez „Kulturę”. Ijon stwierdza, iż *wcale nie jestem prze-*

KOCI PAZUR

Ziemowit Samożyciek

Michał istnieje tylko w „Kociu pazurze”! Wyjaśnienie to wydaje się konieczne, ponieważ niektórzy czytelnicy zaczynają doszukiwać się w bohaterze naszej powieści pewnych podobieństw do redaktora XY...

Tajemnicza poetka nie dawała Michałowi spokoju. Kiedy przyszedł do domu natychmiast zaczął przeglądać dawne zbiorki poetyckie. Po godzinie miał pewność: wiersz powstał wskutek kompilacji. „Autorkami” okazały się Hillar, Świrhłowska i Brzostowska. Rzekome nazwisko Świrhłowska zostało utworzone w podobny sposób, jak zaprezentowany utwór.

— No — pomyślał — niech tylko zjawi się ta „Świrhłowska” w redakcji. A swoją drogą niezły kawał! Trafila jednak na starego wróbla, nie dam się wziąć na plewy. — Michał uśmiechnął się z zadowoleniem. Rozszyfrowanie tej sprawy sprawiło mu nie lada satysfakcję...

— Może kupimy samochód? — Michał spojrział na żonę ze zdziwieniem. Nigdy jeszcze z jej ust nie padła tego typu propozycja. — Zwartowałaś? Tyle mamy rat... — Raty zawsze będą. Ale w inny sposób niczego nie zdobędziemy.

— Wolalbym, abyśmy byli na czysto. Ostatecznie taśm mało nie zarabiam, a co biorę na rękę?

— Mamy dwie pensje. Sądzę, że jakoś damy sobie radę. Pod warunkiem, że ograniczysz swoje wizyty w klubie „Dziura”.

— Oj, nie przesadzaj! Niedługo i tak potanieje. Zamierzają wprowadzić czystą.

— I będziesz codziennie przychodził na gazie. Dziękuję bardzo!

— Boże, co za problemy robi się w naszym mieście? Człowiek pojdzie do klubu, strzeli mały koniak, a już słyszy, że się uchiał, jak świnia. Był tu niedawno redaktor Boclanowicz ze Szczecina. Tam mają Klub 13 Muzy, otwarty i po północy. Wszyscy się znają, jak tyse konie. Ktoś kiedyś wpadł na pomysł, żeby poprzez wprowadzenie koniaków i wycofanie żytniej ukulturalnić atmosferę. I co się stało? Bufet niemal nie zbankrutował, a pijanych było więcej niż normalnie. Taka abstynencja made in Poland niczego nie daje. Gdzie dziennikarz ma wypić? W „Europejskiej”? Żeby było ciekawiej mógł się do niego przysiąść i pleść głupoty? Strasznie nie lubię zakłamania. Znam pewnego dziennikarza w Warszawie, który ludziom przez TV prawil moralny, a alimentów na syna do dziś nie płaci. Własne dziecko nie chce się przyznać do niego.

— No dobrze już, dobrze. Myślałby ktoś, że jesteś taki kozak. A przecież dasz się lubić. I właściwie można z tobą wytrzymać. Masz zamiar coś dzisiaj napisać?

— Nie. Obejrzą mecz hokejowy z USA. Może nareszcie przestaniemy być chłopem do bicia.

Polska wygrała 5:3. Michał powiedział do żony:

— Niczego sobie więcej nie życzę: żeby tylko taki wynik padł w meczu z Włochami!

— A co? Włosi też grają w hokeja?

Michał uśmiechnął się. Wiedział, że żona żartuje. Była wspaniałym kibicem i zawsze chętnie oglądała na szklanym ekranie piłkę nożną...

Sprawa samochodu nie dawała jednak Michałowi spokoju. Następnego dnia zadzwonił do dyrektora.

— Jarek, nie można czegoś dostać na raty?

— A co byś chciał kupić?

— Jakiś samochód.

— „Syrenę”?

— Przecież mówię, że samochód. Najchętniej „trabant”.

— Z „syrenami” jeszcze najmniejszy kłopot. Złóż podanie.

— A załatwisz?

— Czy ja wiem? Przecież to nie ode mnie zależy.

— Ale człowiek ma jakieś zastęgi...

— A kto nie ma, człowieku? Mówię ci, złóż podanie. Zobaczą, może da się coś zrobić. Co się stało w tym roku? Wszyscy na gwałt chcą mieć własne wozy. A potem każdy będzie się starał o limity na kilometr.

— Dobrze ci mówię. Ty nie chodzisz piechotą.

— Gdybym chciał, już dawno miałbyś samochód.

— Gdybym chciał. Ale nie chciałem. A teraz chcę.

— I dlatego do mnie? No, złóż to podanie. Pracujesz już kilka lat.

— Kuku! Zajrzyj do akt personalnych.

— Dobra, zajrzę w wolnej chwili. Przepraszam cię, przyszła towarzysząca Ela z Ośrodka Dokumentacji...

— Naczelny pana uszywa.

Michał nie miał czasu na zastanawianie się, co może urządzić ta rozmowa. Naczelny był jednak w świetnym humorze.

— Wście, towarzyszu — powiedział — zbliża się trzydziesta rocznica zakończenia wojny. Chciałbym, abyście pojechali na zachód. Do Wrocławia, albo do Szczecina. Potrzebny nam jest ciekawy reportaż.

— Dobrze. Mogę jechać. Ale kilka moich materiałów leży jeszcze w teczkach redakcyjnych.

— Pójdą...

— Już tyle czekam...

— Były ważniejsze sprawy. Musicie towarzyszu zrozumieć, że musi być jakaś polityka redakcyjna. Niech tam sekretarka wypisze delegację.